NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 6 **Kwiecień 1936** **Rok X**

OD REDAKCJI.

W związku ze zbliżającym się końcem roku, członkowie redakcji „Naszego Widnokręgu" z klas maturalnych ustępują, nie odmawiając jednakowoż w miarę możności swej współpracy do końca roku.

Nasza redakcja zwraca się do całej młodzieży z gorącą prośbą o wzięcie czynnego udziału w dalszym rozwoju naszego pisma, linja wytyczna jego pozostaje niezmieniona.

Obecny skład komitetu jest następujący: Cisińska, Wolenkówna, Bożenek, Stachórski oraz współpracownicy: Sułkowska, Baczyńska, Kornaszewska, Siemieniakówna i Żułkosiówna.

OD KOMISJI REDAKCYJNEJ KURSU V-GO

Wchodzi w życie nowa ustawa i Seminarjum się likwiduje.

Jako ostatni seminarzyści postanawiliśmy opracować cykl artykułów, traktujących o dorobku i wartościach Seminarjum, wniesionych do życia młodzieży licealnej.

Wydawało się to nam słusznem i rozumnem, jakoże szkoła nasza ma poważną przeszłość za sobą: piętnaście lat pracy.

W tym celu nawiązaliśmy kontakt z byłymi wychowankami, staraliśmy się dotrzeć do źródeł, Niestety! Z tych czy innych względów nie uzyskaliśmy możności zrealizowania swoich pomysłów w zamierzonym zakresie.

Musimy być szczerzy: dzisiejszy numer jest jeszcze mniej niż „niepretensjonalny" i zawiera zaledwie drobny ułamek z tego, co nazwiemy całością Seminarjum.

Dajemy tylko przyczynki do niektórych dziedzin życia Seminarjum.

SZKIC KRONIKI.

Zaczęło się Seminarjum kursami Pedagogicznemi w r. 1919—kończy się w r. 1936.

Dyrektorami jego byli: pierwszy p. Moczulski, następnie: p.p. Paluchowski, Hilczer, Kochler i Paliwodzianka.

W r. 1921-22 pierwszą maturę zdało 13 osób, w r. 925-26—37 osób, dziesiątą—w r. 1930-31—25 osób.

W roku 1936 na piątym kursie, ostatnim w Seminarjum, ostatnim w „starym porządku rzeczy" jest osób 25

Seminarjum w życiu licealnem ma swoją pozycję

Jak się ta pozycja tworzyła, coś niecoś o tem powiem. Mało coprawda. Ludzie kompetentniejsi w tej materji i mający większy dostęp do źródeł, zabiorą wkrótce głos.

To co najistotniejsze, prześledzimy.

A więc w r. 1919 w Kowlu, na zebraniu dyrektorów powstających szkół na Wołyniu, postanowiono w Krzemieńcu założyć Kursa Podagogiczne w celu przygotowania do pracy na Wołyniu odpowiedniej ilości nauczycieli w czasie jaknajkrótszym.

Liceum było w rękach prawosławnego seminarjum duchownego. Żaden gmach nie należał do państwa. Kursa mieściły się w domu Bakimera przy obecnej ul. Pierackiego. Organizował je p. Moczulski . Słuchaczy miał 68. przeważnie krzemieńczan. Kto był zamiejscowym, mieszkał obok w naprędce skleconej bursie. Kursa trwały po $1^1/_2$ mies. Wykładano: religję, j. polski, logikę, łacinę (!) i roboty. Trwało to do inwazji bolszewickiej, t j. do czerwca 1919 r. Wtedy to Kursa zamknięto. Kto mógł, poszedł na ochotnika do armji polskiej, na czele ze swoim dyrektorem.

20. I. 1921 powstaje już w murach licealnych, odbieranych na mocy rozkazu Marszałka—Seminarjum. I odtąd nieprzerwanie, co roku wychodziły w świat matury, co roku stawała do pracy nowa, świeża grupa ludzi.

W rozwoju życia Seminarjum L., które jak sądzę, nie odbiega od życia całego Liceum, da się zauważyć dwa wyraźne okresy.

Pierwszy, to ten konstytuujący się, organizujący i utrwalający okres, w którym wizytatorem był p. Piekarski. Drugi—wtedy wizytatorem był p. Poniatowski a kier. pedag. przez lat parę p. Dobrowolski; okres, w którym cel Seminarjum jasno i wyraźnie zostazł zamyślony, przymierzony do tego życia

najbliższego, z którego Liceum wyrosło.

Pierwszy okres.

Była młodzież rozmaita. Ta zżyta, zdyscyplinowana, mająca tradycje—młodzież ze szkoły humańskiej. .

...ta zbiedzona zawieruchą wojenną, która albo uciekła z domów do Polski, przez granicę, albo .. która po długich wędrówkach powróciła do domu i nikogo tam nie zastała.

Wreszcie ta młodzież, która po „dziewięć razy śmierci w oczy zaglądała, a w szkole straszono ją głupstwami" np. obniżaniem stopnia z zachowania.

Jedno wspólne dla nich: bieda i przeżycia, tworzące „młodych starców“.

Dzięki niestrudzonej pracy p. Piekarskiego, niespożytej jego energji, zapałowi grona nauczycielskiego, ludzie ci, stojący u progu wykoszlawienia życiowego, znaleźli przytułek, wiarę w lepszą przyszłość, fach.

W tym kierunku wytężona była ich praca Życie społeczne młodzieży seminarjalnej nie istniało. Inicjatywa leżała po stronie grona. Odczyty, przedstawienia, koncerty, naogół częste i solidnie przygotowane, to przecież wyłącznie praca nauczycieli przy zainteresowaniu młodzieży jedynie jako wykonawców,

Organizacyjnie skupiała się młodzież seminarjalna przeważnie w harcerstwie. I w tych latach przechodziło harcerstwo „złoty wiek“ rozkwitu. Część, bo tylko mężczyżni i to szczupłe grono (chodzi o seminarzystów!) należało do Sokoła, którego przeszczepili tu humaniacy

W latach 1923-24 napływają do Seminarjum uczniowie z głębokiej Polski, z pod Jędrzejowa. Z czasem jest ich nawet większość. Element niewołyński, nawet niekresowy, nieznający tutejszych stosunków, odrębny zwyczajami, różni się bardzo od reszty i prowadzi z nią „zaciekłe boje“. Przeważnie na języki. Jesteśmy u jednego ze źródeł słynnego antagonizmu między seminarzystami a gimnazistami. Trwał on pokaźną ilość lat. Zatarło się to teraz. Lecz były gimnazista nie powie inaczej o swoim koledze, byłym seminarzyście, jak z lekceważeniem.

Wielu ludzi pamięta i nadziwić się nie może, w jakich warunkach młodzież się tu uczyła i jakie mieli okropne warunki ci, którzy ją uczyli. Zaiste wierzyć się nie chce.

Borykać się należało z warunkami materjalnemi, wy-

chowawczemi, często, co dziwne: z władzami niestojącemi w bezpośredniej styczności z Liceum, niemniej jednak mającemi na tym terenie swój głos.

Trudności powoli, jedne za drugiemi, pokonywano. Prace szły naprzód A młodzież coraz bardziej znajdowała cel w pracy nietylko tej, skonkretyzowanej w stopniach. Coraz więcej powstaje organizacyj, pomysłów, które świadczyły, że jest jeszcze inna strona życia, tak na terenie szkoły, jak i w przyszłej pracy, do której trzeba się przygotować.

Okres drugi.

Dążenia i wysiłki zostały zlokalizowane wokoło jednej głównej idei. Było nią: „Liceum przedewszystkiem dla Wołynia". Postawił ją twórca nowego Liceum, p. wizytator Poniatowski.

Zmieniają się przedewszystkiem w Seminarjum L. stosunki narodowościowe i „pochodzeniowe". Coraz więcej jest w niem „Wołyniaków". coraz więcej garnie się do Liceum Ukraińców. Tu, na terenie szkoły ci, którzy mają potem ze sobą wpspółpracować, nawzajem poznają siebie, stawiają sobie wspólne dążenia, razem pracują. W życiu to jest konieczne. Wołyń tego wymaga....

Te idee, zamierzenia, stanowiły pobudkę działania, konkretnej pracy, którą prowadziło Seminarjum. Powiedzą o tem artykuły moich kolegów.

J. K. Siemaszko kurs V Sem.

NASZE ROZŚPIEWANIE.

Pieśni, tyś moje wesele
Pieśni, tyś moja moc....
sł. Mayznera

Już od najdawniejszych czasów Seminarjum było główną podwaliną chóru szkolnego, a oprócz tego i innych imprez na polu artystycznem. Seminarjum śpiewało, bo to leżało w jego programie nauki, to związane było z jego późniejszą pracą.

Chór szkolny stał wtedy na dość wysokim poziomie. Aby szerzyć kulturę muzyczną urządzano akademje szkolne na miejscu, a także wyjeżdżano z odpowiednim programem w teren, na prowincję, gdzie cieszono się wielkiem powodzeniem. Jednak w obrębie jednego kursu nie było naogół jakichś samodzielnych w tym kierynku poczynań na szerszą skalę.

Rzecz całkiem zrozumiała, że trudna jest samowystarczalność, gdy jednych muza obdarza więcej wrażliwością mu-

zyczną, a innych mniej.

Tak to już jakoś było, ale nadeszły czasy, gdy Seminarjum zostało skazane na wymarcie i oto dziw—ostatnia jego „kadra“, walcząc heroicznie z rozmaitemi trudnościami (podsuwanemi przez troskliwych wychowawców, aby nas zaprawić do życia), brnąc rozpaczliwie do znicza wiedzy, na jednem polu dopisała w zupełności. Poprostu z jakiemś dziwnem zacięciem oddaliśmy się śpiewaniu od samego zawiązku naszego kursu.

Pamiętam, jak dziś, kiedyśmy w „zielonych jeszcze i zamierzchłych czasach“ urządzali przemiłe „wieczory pod lipą“. Zbieraliśmy się co pewien czas w ogródku naszej wychowawczyni pod starym jesionem i niezmordowanie odbębnialiśmy nasz przebogaty repertuar unisonowy aż do ochrypnięcia.

I wtedy dopiero szliśmy do domów, aby za kilka dni znów się zebrać

Ale podrośliśmy trochę i przyszedł nowy wychowawca, który miał dla nas na ustach zawsze, albo przyjacielską troskę i tak znany nam dobry uśmiech, albo piosenkę Rozumieliśmy Go, ale zawsze jakoś tak się składało, że pomimo naszych szczerych postanowień i jaknajlepszych chęci, dostarczaliśmy Mu niezmordowanie przez cały czas współżycia 4-letniego jaknajwięcej bardzo pomysłowych „niespodzianek“. On je zawsze z wielką wyrozumiałością starał się załagodzić, aby zmyć z nas nazwę „parszywej owcy“. Staraliśmy się Mu w czemś innem za tę świętą cierpliwość odwdzięczyć i znaleźliśmy wspólne pole porozumienia. Oprócz innych dziedzin kochał On bardzo muzykę i śpiew—my też. Zaczęliśmy więc wspólnie śpiewać

Najpierw to były piosenki skromne, dwugłosowe i tu wybitnie zarysowały się talenty żeńskiej połowy, rzucającej oburzone spojrzenia na „mniejszości kursowe“ płci odmiennej, gdy Ci tworzyli zbyt futurystyczne dysonanse. Ale to się zmieniło szybko. Pamiętam tę przemiłą chwilę i nasze zadowolenie, gdy odśpiewaliśmy poraz pierwszy „Mewy“—Kazury, o dosyć zawikłanym rytmie i z wpadaniami, gdzie koledzy musieli śpiewać „falcetem“ i wyraźnie okazywali nam swoje współczucie, że my własnie nie możemy tak oryginalnie „nazywającą się barwą głosu śpiewać. Od tego czasu śpiewaliśmy stale coraz trudniejsze utwory — wszystko dla siebie— „jak kwiat w ukryciu“.

Pierwszy raz wystąpiliśmy na arenę dziejową jako III kurs wspólnie z V kursem, urządzając akademję w rocznicę bitwy pod Wiedniem.

W Liceum jest taki zwyczaj między innemi, że koniec roku szkolnego jest organizowany przez klasy, które dają od siebie na program deklamacje, piosenki lub też recytacje. Los się na nas uwziął—niestety.

Naszych 10-ciu młodzieńców, jak jeden mąż musiało stanąć do jakiejś „propedeutyki bojowej" P. W.

Zostałyśmy osierocone, ale nie upadłyśmy na duchu i nie straciłyśmy głów.

Niezrażone stworzyłyśmy chór żeński, który w zupełności dopisał. Koledzy wróciwszy wzięli „na ambit" i zrewanżowali się męskim—i taki jest początek dzisiejszego chóru „9 rewelersów".

Nie było u nas takich, którzyby nie śpiewali. Wychowawca nietylko, że nam „wybił" to z głów, ale dokazał tej sztuki, że ci, którzy w innych warunkach byliby zerem muzycznem, tak się rozśpiewali, że są warci uznania.

Otóż postanowiliśmy się porwać z motyką na słońce i urządziliśmy, już samodzielnie, akademję ku czci Karłowicza.

Temat był wysunięty przez szkołę, program zależał wyłącznie od naszej pomysłowości.

Po wykonaniu audycji dla młodzieży wpadliśmy na pomysł urządzenia tego po raz drugi, jako koncertu płatnego, dla miasta. Zajęliśmy się reklamą—niestety brakowało nam wprawy, gdyż efekt końcowy był taki, że tylko 20-cia krzeseł zajętych było przez bubliczność z miasta.

Aby nie śpiewać „sobie i muzom"—poprosiliśmy internat męski, aby „imitował gości" i wkońcu niezrażeni dokonaliśmy swego.

Teraz to już spiewaliśmy stale, bez przerwy i bez końca—czasem to miałam wrażenie, że to „chata rozśpiewana", a raczej „szopka".

I oto na kursie V-ym powstaje projekt, najpierw nieśmiały, a wkońcu „słowo staje się ciałem": urządzamy koncert—w składzie na chór męski, żeński, mieszamy i partje solowe i to z wyjazdem do Szumska.

Praca zawrzała gorączkowo. Nie można było się zbłaźnić, gdyż jechaliśmy nietylko jako kurs V, ale jako Liceum, tembardziej że przed nami jakiś artysta z Bożej łaski, mocno za-

ostrzył krytycyzm i uprzedzenie mieszkańców, odtwarzając z temparamentem kuplety z przed 100-tu lat—wątpliwej treści.

I oto obrazek—sala wypełniona po brzegi publicznością, czujemy na sobie setki utkwionych ciekawie spojrzeń—wyczekiwanie. Każdy z nas przechodzi dziwne uczucia radości, obawy, dumy, każda twarz jest dobra, uśmiechnięta. Właściwy powód niewiadomy, ale jest nam wesoło i tak w tej chwili wszyscy czujemy się sobie bliscy i jacyś lepsi, niż codziennie.

Na scenie nas było 25 osób – w oczekiwaniu wychowawcy—dyrygenta, obok nas strudzony wiekiem fortepian, strojony w tonacji „R-dur" z „unieszkodliwionym" pedałem i klawiszami wygryzionemi przez „ząb czasu", albo też (co bardzo prawdopodobne) przez burzliwy impresjonizm posiadaczy.

Chwilka... zaczęło się.... Poszło ślicznie i przeżyliśmy wiele, wśród gościnnych mieszkańców Szumska.

Rozentuzjazmowami powtórzyliśmy program w Wiśniowcu z podobnym sukcesem, a następnie, na życzenie pana Kuratora, w Krzemieńcu

Tu już mieliśmy oprócz okropnie schrypniętych głosów—zdecydowaną treme, gdyż wśród słuchaczy było bardzo wielu miłośników i znawców muzyki.

Specjalne uznanie zdobył sobie chór męski, który w zespole 9-ciu osób, plus dyrygent—wychowawca w „momentach krytycznych"—dzielił się niesamowicie (na półtora, czy też pół głosu) przy ośmiogłosowej piosence.

Teraz już postanowiliśmy dać sobie przez pewien czas spokój z publicznemi występami, więc na korytarzach, w czasie pauz, w wolnych pracowniach, na lekcjach artystycznych, zawsze i wszędzie „koncertowaliśmy". Nadarzały nam jeszcze ku temu sposobności wspólne wieczory towarzyskie, a między innemi niezapomniany u naszego kochanego ks. prefekta Lenczewskiego, którego zmuszaliśmy być publicznością i odbębnialiśmy mu program „od deski do deski".

„Koroną" koncertów był wieczór, wydany w Smydze—ostatni podryg na zewnątrz.

A było to tak. Po całotygodniowej praktyce pedagogicznej w terenie, przyjechaliśmy w nocy do Krzemieńca. Rano o 8-ej odbyliśmy pierwszą i ostatnią, a zarazem generalną próbę, a o 15-ej pojechaliśmy już furmankami do Smygi.

Zsiadłszy z furek, napół senni roztasowaliśmy się, gdzie kto mógł, w pozycjach siedzących i leżących i wszyscy wpadli

w „objęcia Morfeusza"—z wyjątkiem dekoratorów. O godz. 8-15 przyprowadziliśmy się do przytomności i ukazaliśmy się słuchaczom. Całość poszła dobrze, chociaż zmęczenie odbiło się trochę na „harmonji" niektórych utworów.

Specjalnie należy tu podkreślić nadzwyczaj oryginalne wykonanie jednego punktu naszego programu: Część II t. zw. „Z wysokich Parnasów"—są to obrazki w stylu rococo, w wykonaniu solowem przy akompanjamencie fortepianu.

W Krzemieńcu obrazki te mile wypadły, ale nad Smygą zawisło fatum. Przedewszystkiem solistka zachorowała, więc zastąpiliśmy ją inną, która zabrała się energicznie do przyswojenia jako tako słów dwu piosenek i opanowania roli w ciągu kilku godzin, ćwiczyła zapalczywie na każdym kroku i przy każdym posiłku, plącząc rozpaczliwie treść jednej piosenki z drugą. Wybraliśmy jej do pomocy suflera. Ale to nie koniec jeszcze.

Po przyjeździe do Smygi, okazało się, że jest tylko fisharmonja, na której nasza pianistka nie umie grać. Sytuację, jak zwykle, uratował wychowawca, który ofiarował się ją zastąpić.

I nastąpiła wzruszająca scena:

Przy rzewnych dźwiękach kościelnej melodji wpada na scenę frywolna pasterka, łapiąc z trudnością rytm tej „sferycznej muzyki", a jednocześnie tracąc z powodu tremy oddech, a wraz z nim słowa przyswojonych sumiennie piosenek.

Napróżno sufler natęża głos i krztusząc się, powtarza, przez łzy te nieszczęśliwe rymy, napróżno kochany pianista pochyliwszy drgająca śmiechem twarz, stwarza również chaotyczną melodję—solistka zaplątawszy się w tworzone przez siebie rymy—zrezygnowana macha rozpaczliwie ręką i wypada w pląsach ze sceny.

My pokładaliśmy się ze śmiechu za kulisami.

Orzeźwieni tym epizodem dokończyliśmy repertuaru, załadowaliśmy się na furki i z deficytem 50-cio groszowym przybiliśmy do przystani—tak upragnionej—o godz. 2-giej w nocy.

W poniedziałek rano, zrzuciwszy z siebie postawę „ciała pedagogicznego", do której przyzwyczailiśmy się przez poprzedni tydzień praktyki na wsi, podzieliliśmy losy innych śmiertelników. Walczyliśmy bohatersko przez sześć godzin lekcyjnych z sennością, która przemożnie nas ogarniała.

Powstał też tego dnia wiekopomny dowcip. Jedno indy-

widuum w czsie dużej pauzy przemocą zaczęło się wgłębiać w jakieś tajniki biologiczne. Na pytanie do niego skierowane, odpowiedziało z powagą: „Nie przeszkadzaj — muszę się przygotować do matury". Wzbudziło to ogólne uznanie.

Smyga była ostatnim występem.

Śpiewamy już tylko na „swojem podwórku", aby „ulżyć sobie", a czasu nie tracić na wyjazdy.

To rozśpiewanie nasze każdy wywiezie ze sobą w duszy na swoje placówki i ono to będzie temi nićmi, wiążącemi nas z „centrum duchowem"—wychowawcą i z zakładem, w którym tyle jasnych i dobrych chwil przeżyliśmy,

Lodka Chruszczewska.

WYCIECZKA DO CZĘSTOCHOWY.

Matura na karku. Takie krótkie zdanie, ale jakież mocne i treściwe! Postanawiamy zrezygnować ze świąt w domu i Wielkanoc spędzić na przygotowywaniu się do egaminu. Lecz tu pada z ust naszego drogiego księda Lenczewskiego projekt, który wzbudził niesłychany entuzjazm i pokrzyżował poniękąd nasze plany „świąteczne".

Myśl była taka: „Jedźmy do Częstochowy i wycieczka ta niech ma charakter wyłącznie religijny".

Początkowo cała klasa zamierzała jechać, wybrany więc został komitet wycieczkowy, który miał wraz z księdzem obmyślić koszta, trasę, czas wycieczki, ekwipunek i wszystko inne. Ale obliczone koszta przeraziły nas tak, że straciliśmy całkowicie nadzieję.

Tymczasem ksiądz prefekt ogłasza nam, w sposób zarówno zdumiewający jak stanowczy, że sprawą pieniędzy na drogę nie potrzebujemy wcale, a wcale się martwić, gdyż to należy wyłącznie do Niego. „Może się da wziąć z funduszów kościelnych, może z dyrekcji ..."

Wobec takiego postawienia sprawy po długich debatach zdołaliśmy sobie wyobrazić (oczywiście na wyraźne życzenie Księdza) że pieniądze już są.

Im bliżej były święta, tem coraz bardziej żyliśmy tą wycieczką, mimo to jednak—prawie połowa klasy musiała odpaść z listy uczestników. Najważniejszą przyczyną było to, że bądź co bądź 5 dni (właściwie straconych dla nauki) mogło spo-

wodować dla niektórych nieco przykre następstwa. Zdecydowało się więc jechać 13 osób (przyczem grono nasze powiększyło się o dwie osoby prywatne) no i oczywiście Ksiądz. Razem 16 osób.

Mieliśmy wyjechać w czwartek 9 kwietnia w nocy—wrócić w poniedziałek o godz. 23.

Nadszedł wreszcie oczekiwany wieczór czwartkowy. Około godz. 22 zebraliśmy się wszyscy, przygotowując się do wymarszu na stację. Przyszedł także nasz kochany wychowawca, oraz ci wszyscy, którzy zdecydowali się pozostać.

—Co tu ukrywać! – było nam trochę przykro. że nie wszyscy razem jedziemy, ale trudno.

Stacja. Mamy 15 miejsc i to siedzących. a tu czeka nas cała noc jazdy, jednak nie przejmujemy się tem. Gwizdek. Ostatnie usciski dłoni i ruszamy. Jeszcze parę sekund i tracimy z oczu stację i drogą grupkę odprowadzających z p. prof. Mączakiem na czele.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Godz. 6-ta. Lwów. Nie zważając na zmęczenie po nieprzespanej nocy, szybko spożywamy śniadanie i opuszczamy dworzec. Mimo, że jest wczesna godzina, ulice roją się od ludzi. Zwiedzamy kościoły, groby. Jesteśmy w katedrze ormiańskiej. W tym kosciele nie można sią nie modlić....

Jakiś dziwny nastrój ogarnia każdego i skłania do modlitwy. Ksiądz prowadzi nas do grobu. Mnóstwo kwiatów. świateł.... Wkrada się do duszy cała gama uczuć. często sprzecznych: to smutek i żal, to radość i wielka miłość, która rodzi dobre postanowienia.

Ale czasu mamy mało, do tego stopnia, że tramwajem wracamy na dworzec w obawie, by się nie spóźnić.

Jeszcze dziś wieczorem mamy być w Krakowie, gdzie czeka nas nocleg.

W przedziałach ciepło, przyjemnie, pociąg mknie szybko, tylko że chce sią trochę spać. Niektórzy więc lokują się możliwie jaknajwygodniej, postanawiajęc sobie natychmiast „przestać grzeszyć“—inni przemocą rozszerzają powieki. wiodąc przytem „zaciekłe dyskusje“ na temat romantyzmu, czy też pedagogiki współczesnej, jeszcze innni śledzą przez okno rozległe widoki podkarpackie i „haczą“ siebie nawzajem z geografii (przedmiotu wziętego na maturę)

Wreszcie—Kraków. Ksiądz nas prowadzi do schroniska.

Po drodze zachodzimy do kościołów, chcieliśmy nawet wejść do katedry wawelskiej, lecz niestety, z powodu poźnej pory była już zamknięta.

Dalsze więc zwiedzanie odłożyliśmy do jutra, gdyż pociąg do Częstochowy odchodził dopiero około godz 12-ej.

Nazajutrz zwiedziliśmy cały szereg kościołów, między innemi Kościół Marjacki i katedrę wawelską, gdzie byliśmy trochę dłużej na nabożeństwie.

W powrotnej drodze wprowadził nas Ksiądz do pałacu prasy I. K C., gdzie zrobiliśmy zdjęcie, aby w ten sposób powiedzieć rodakom: patrzcie, jak Kresy się ruszają".

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Częstochowa. Idziemy na rezurekcję. Za nami, przed nami — morze głów. Abyśmy mogli lepiej zobaczyć uroczystą procesję, ustawia nas Ksiądz na schodach, obok miejsca, przez które ma przechodzić pochód. Sam zaś swoją wyniosłą postacią „odstrasza" tych wszystkich, którzyby ten widok zasłonić nam chcieli.

Nad nami niebo ciemne, spokojne, gdzie niegdzie gwiazy. A wokoło ruch i wrzenie. Stłumione rozmowy....

Niecierpliwimy się.... Myśl wybiega na spotkanie .... wtem wstrząsa mną jeszcze jeden głos,—piękny, czysty, i górny głos dzwonów.... Słowa zamierają na ustach. Zwracamy się wszyscy w stronę, gdzie wśród znieruchomiałej, czarnej masy ludzkiej, posuwa się jasny pochód z krzyżem na czele.

Mnóstwo świec, pochodni. W ich swietle płyną przed nami niesione wysoko chorągwie.

Przesuwają się skupione postacie, rozśpiewaniem natchnione twarze zakonników.... Idą i idą.

W śpiew wpada poważna muzyka trąb i klarnetow...

Alleluja!!! Serce tłucze się w gardle.. .nabrzmiewają powieki.

Wtem tłum się chwieje, przyklęka. Sędziwy biskup niesie monstrancję, przed nim białe, drobne cherubinki sypię kwiatki. Przeszli. Za baldachimem tysiączne rzesze rozśpiewane, rozmodlone... Odnosi się wrażenie, że niema końca tej procesji

Niedziela. Już o godz. 6-ej część z nas (bo reszta, to śpiochy) razem z księdzem idzie do Kościoła, chcąc zdążyć na odsłonięcie cudownego obrazu Matki Boskiej. Niestety!—zaspaliśmy odrobinkę, ale to nic. Dzięki „protekcji" dostaliśmy się tuż przed ołtarz, przed którym bez przerwy były odprawiane nabożeństwa. Między innemi i nasz ksiądz prefekt od-

prawił mszę, a my, po odbytej spowiedzi przystąpiłyśmy do Komunji świętej.

W międzyczasie poświęciliśmy wszystkie zakupione pamiątki. Oczyszczeni i lepsi na duszy, troszkę głodni (czy to coś złego?)—wracamy do schroniska na święcone.

Ubogie było to nasze śniadanie i obiad zarazem: parę jajek w plasterkach, herbata i chleb z szynką.

Byliśmy jednak w tej chwili nastrojeni tak górnie, że niedostrzegaliśmy tego. ani też tego, że jadalnia była pusta prawie, zimna i tak mało odświętna". Stanęliśmy wszyscy dookoła stołu. Z twarzy Księdza znikł charakterystyczny uśmiech z jakim się do nas zazwyczaj zwracał; twarz ta była w tej chwili poważna i uroczysta:

„Życzę Wam i tym wszystkim, których tu z nami niema, wszystkiego, co tylko może życzyć oddany Wam przyjaciel, ażebyście w 100$^0/_0$ zdali maturę i w życiu szli możliwie jaknajprostszą i najszczęśliwszą drogą! .

Trudno oddać treść tych słów... Rozpłakałyśmy się, a nawet śmiem nieśmiało twierdzić (z zastrzeżeniem. że mogło to być przywidzenie), że i kolegom „spociły się" oczy.

Resztę dnia poświęciliśmy zwiedzaniu skarbca, oraz szczegółowemu oglądaniu Jasnej Góry i jej zabytków. Wieczorem przyszła do nas nasza dawna profesorka (u której byliśmy poprzednio w gościnie)—i tak, przy wspólnych rozmowach i śpiewach, upłynął nam czas do godz 23-ej.

Około godz. 2-j w nocy mieliśmy wyjechać z Częstochowy, to też zaledwie po dwugodzinnej drzemce—opuściliśmy schronisko. Wśród nocnej ciszy i ciemności, skierowaliśmy się w stronę dworca. Zanim jednak weszliśmy na szeroką i lśniącą od swieżego deszczu ulicę, która nam, patrzącym z góry, rysowała się wyraźnie w swojej perspektywie dzięki dobrej iluminacji,—zwróciliśmy się poraz ostatni w stronę tonącego w mroku Kościoła. Wysoko, wysoko, na szczycie smukłej wieży, rozpraszało ciemności drobne, nikłe światełko.... Pozatem cisza.

Powtarzaliśmy za księdzem stłumionemi od wruszenia głosami:

—„Pod twoją obronę uciekamy się"...

— — — — — — — — — — — — — —

Krzemieniec. Sen i zmęczenie gdzieś pierzcha, bo oto na peronie widzimy rozjaśnioną twarz naszego wychowawcy i

kolegów.

„Że też chciało się im iść taki kawał i tak późno?— myśli każdy z nas, odczuwając równocześnie jakąś wielką radość Wracamy piechotą, tylko ksiądz zabiera z sobą na bryczkę parę „fujar".

Co słychać w Krzemieńcu?—Miasteczko spokojne- -konstatuje profesor—opowiadajcie lepiej o Częstochowie.

Więc nie szczędzimy słów.

M. Chrzanowska

„PRZYJECHALI DWAJ CYWILE"...
(wrażenia z praktyki)

Piękno znaleźć można w poznaniu rzeczy nowych. Nieznana nam była okolica. Nieznana miejscowa szkoła, ze wszystkiemi połączonemi z tym wyrazem pojęciami. Cóż bowiem znaczyć mogą różnorodne, krańcowe i kłócące się ze sobą informacje z wszech stron słyszane.

A było pięknie!

Jeśli powiem o sobie, że dla tych nierzadko umorusanych a jeszcze częściej obdartych dzieci miałem sympatię, to przypuszczam, że podobnie wypowie się także większość kolegów. Koleżanki w 100°/$_0$. Napewno!.

„Przyjechało dwuch panów!"—Sam fakt był dostatecznym bodźcem dla dzieci, by zwiększyć ich zainteresowanie się szkołą i nauką.

Tak było. Odczuwaliśmy to codzień już od godz. 6-ej rano.

Trudno wymarzyć sobie piękniejszą pobudkę nad głosy biegających i śpiewających dzieciaków. Gwar na dziedzińcu, pod oknem, na korytarzu... Orkiestralne ćwierkanie ptasząt, ukrytych w krzakach bzu w słoneczne poranki, zostawione zblazowanym „romantykom" i rozmarzonym pannom.

„Pedagoga" obudzą dzieci i rozjaśnią mu najbardziej nawet pochmurny dzień!!

Lekcje. Płynęły swobodnie, mniej lub więcej żywo, z humorem. Bez przesady!

W pogadankach, krótkich i niezdrowych często zdaniach, kondensowała się treść, objawiała się znajomość przejawów życia. Zainteresowanie i udział w niem!—Życie proste, dziecięce.

W klasie, wśród czterech scian, wśród ławek, mówiąc językiem poetów „działy się cuda".

Słychać tam było wszystko. Od kucia młotów w kuźni, krzyku bocianów i śpiewu skowronków, do szumu drzew i sitowiu nad stawem, do cichego szelestu ziaren, spadających z dłoni siewcy w płodną, pulchnie zoraną ziemię..

A było to wszysko w tych źle skleconych zdaniach, nieraz w połowie urwanych.

Skłamię mówiąc, że było to wszystko.

Dzieci o wielu rzeczach wiedzą więcej. Coś, o czem wielu z nas napewno nie wie.

Naprzykład: kto wie, że kiedyś tam, Marszałek w dzień swoich imienin „huśtany*) był przez przyjaciół i gości zagranicznych“?—Napewno nikt.

Dzieci twierdzą o tem. Same postępują w ten sposób ze swoimi współtowarzyszami w podobnie radosne im dnie, więc czemużby tamci nie mogli tak robić?

—Może tak było.... nie jesteśmy pewni, ale—niech mówią,—niech myślą...

* *
*

Niezbadane są wyroki boskie. Człowiek, który niedawno wprost z zachwytem i podziwem patrzył na kolegę wykorzystującego zakazaną „pomoc naukową“, jakże zupełnie inaczej spoziera na dziecko „odwalające“ z książki dyktando.

W pierwszym wypadku pełne życzliwości spojrzenie z niemem, ale wymownem:—„Oby się nie złapał“, w drugim:—„jakto?—powiedziałem, że nie wolno!“ Oprócz innego spojrzenia, słowa—uwagi,

Coś się zmieniło. „Dwaj cywile“ to inni, niż dotąd, ludzie.

Nauka. Oddziaływanie wychowawcze. Szukanie pedagogicznych chwytów.

—Wiesz, jak Boga kocham, zaczynam rozumieć „belfradę“.

Phi, ja ci tylko nic nie mówiłem....

Wywiązuje się dyskusja Przez okna, szparę odchylonych drzwi, dziurkę od klucza, dochodzą do pokoju, mieszają się z „mądremi“ zdaniami krzyki dzieci, wkradają się ciekawe spojrzenia.

Sześć dni upłynęło.

—Szkoda. Gdyby tak jeszcze.

—Trzeba wracać.

I znów to samo otoczenie co przed tygodniem, te same

*) „huśtać”—podrzucany na rękach do góry.

mury i stoły w internacie.

Przy stołach już nie—„cywile" piszą.

Z pod piór wychodzą arkusze zapisane sprawozdaniami o szkole, ustosunkowaniu wsi, o braku pomocy naukowych, o dzieciach.

Pracy towarzyszy hałas z pobliskiej świetlicy. Jest nieco, a może zupełnie, odmienny od tego, tam na wsi.

Tam były inne dzieci.

bel V kurs

NASZ 11-ty LISTOPADA

Trudno mi będzie w tym krótkim szkicu scharakteryzować specjalny udział młodzieży seminarjalnej, czy temwięcej seminarjum jako instytucji, w specyficznem „naszem" obchodzeniu Święta Niepodległości. Trudno z wielu powodów: zarówno dlatego, że wogóle dotychczasowe poczynania były zaledwie okresem próby i może dopiero w roku ostatnim zdołała młodzież wyrobić sobie należyty stosunek do 11-to listopadowych przedsięwzięć, jak też i dlatego, że są one w zupełności zależne od charakteru klas—jako wyłącznie ich prace. Żadnych ogólnych wytycznych ani planów wspólnych nie tworzymy, a ograniczamy się tylko do ogólnej „rewji" po wyjazdach i bardzo lapidarnych sprawozdań na tejże rewji.

Jeszcze w roku 31 dzień 11 Listopada był w Liceum obchodzony „przepisowo". Było nabożeństwo i defilada, akademje dla młodzieży i „dla miasta". I capstrzyk był także!

Inicjatywa zmiany wyszła od p. Wizytatora Poniatowskiego i Jemu zawdzięczamy, że obecnie Święto to jest dla nas głębokiem przeżyciem każdego roku.

Pamiętam nasz pierwszy wyjazd na drugim kursie do Malinowa i Załuża.... Urządzić akademję „dla wsi" w oparciu o własne siły i pomoc tylko pp. Profesorów w Krzemieńcu—to przecież ogromnie podziałało na naszą ambicję, a że młodym indywidualnościom nie brak nigdy zapału i animuszu, do przygotowań zabraliśmy się solidnie.

Przy układaniu programu akademji oczywiście przykład braliśmy z tego, cośmy poprzednio widzieli, głównie w Liceum, była więc przedmowa, śpiew chóralny, deklamacje i recytacje zbiorowe, a potem inscenizowana wiązanka pieśni legjonowych

(odwzorowana z robionej w Liceum przy podobnej okazji.)

Zainteresowanie nasze środowiskiem ograniczyło się do tego, żeśmy wiedzieli o domu robotniczym w Malinówie i nadleśnictwie surazkiem, a że wyjazd połączyliśmy z wycieczką jesienną, w sprawozdaniu z niego górują wspomnienia o granicy bolszewickiej nad wrażeniami z akademji, chociaż i te są—a szczególnie z Załuża gdzie przyjęto nas bardzo szczerze, a mali goście zjechali się na akademję z sąsiednich wsi.

Muszę również zaznaczyć, że chociaż nie zdawaliśmy sobie dokładnie sprawy z sensu naszego wyjazdu, chociaż uważaliśmy się raczej za trupę artystyczną, to jednak to, że w programie naszym był „Zaporożec" Padurry świadczy o próbach głębszego podejścia do zagadnienia.

W roku następnym zaszła ta zmiana zasadnicza, że swoją obecnością na nabożeństwie w cerkwi rydomelskiej podkreśliliśmy nasz udział w całości Święta z tamtejszą szkołą (gdyż specjalnie do szkoły skierowaliśmy swój przyjazd.

Było to więc dalszym krokiem na drodze do odszukiwania sensu naszych wyjazdów; czuliśmy ich specjalny charakter, nie potrafiliśmy tylko odrazu odpowiednio go sformuławać.

Następnym etapem rozwoju naszych rozmyślań nad wyjazdami 11-to listopadowemi była zasadniczn zmiana głównej myśli całej akademji; używając ogólnie przyjętego określenia—postanowiliśmy zerwać z wojenką, z żołnierzykami i płaczącemi za nimi panienkami, a dać coś bardziej konkretnego i mocnego.

Skąd to wynikło? Poprostu, mając za sobą już dwa wyjazdy na wieś, zaczęliśmy się orjętować, że wymagania i potrzeby naszego widza nie są takie same jak np. widza—ucznia licealnego, a za tem poszło zrozumienie, że nie wystarczy wybór materjału oprzeć tylko na jego wartościach „osobistych", że tu zasadniczą rzeczą jest treść. Czy wybór nasz pod tym względem był trafny (dorobek Odrodzonej Polski na polu kultury duchowej i materjalnej przedstawiany w formie dyskusji pesymisty i optymisty) zastanawialiśmy się po powrocie z Wyszogródka i po rewji ogólnej. Rozumieć zaczynaliśmy głęboką odpowiedzialność za refleksje, jakie mogły się nasunąć słuchaczom po poruszonych przez nas zagadnieniach. Odpowiedzialność tem większa, że jako jednostki obce w środowisku, do którego się wybieraliśmy, mogliśmy być zrozumieni fałszywie, czy też temat wybrać nieodpowiedni, z czego

mogły wyniknąć następstwa zupełnie nieprzywidziane.

Szczególnie żywo przeżywaliśmy kwestję stosunku chłopa ukraińskiego do polskiego Święta niepodległości, Święta, które w swem założeniu wydaje się wielkim manifestem, podkreślającym siłę polskości w narodzie i państwie. Przy takiem zrozumieniu dojść można do tego, że oto sobie powie jakiś mieszkaniec pow. Krzemienieckiego: „wobec tego my, ludność niepolska, jesteśmy tu niczem, jesteśmy najemnikami Polaków, którym musimy płacić podatki". Aby nie dać powodów do nasunięcia się podobnych refleksyj, postanowiliśmy przy obmyślaniu programu akademji wydobywać momenty pozytywne w pracy wszystkich obywateli przy budowie wspólnego państwa, podkreślać konieczność i możliwości współpracy, wzajemnej pomocy i współżycia.

To było naszem głównem założeniem w roku ostatnim — założeniem według mnie zupełnie zrealizowanem. Punktem wyjścia była tym razem wystawa krzemieniecka, jako dorobek we wszystkich prawie dziedzinach życia, właśnie całej ludności powiatu.

Takie ujęcie tematu poza jego wartościami ideowemi, dało zupełnie konkretne, realne podejście do zagadnień żywych, aktualnych i bliskich, i twierdzić śmiało możemy, żeśmy cel osiągnęli, jeżeli nie całkowicie, to w każdym razie w znacznej mierze Trzeba było widzieć miny poważnych gospodarzy, gdy samych siebie widzieli na estradzie!

To były sprawy, związane z treścią. Jeżeli teraz chodzi o formę, to również zmieniła się ona od pierwszego wyjazdu— oto ostatni 11 Listopada był obchodzony i uplanowany wspólnie z miejscowym społeczeństwem (byliśmy w Zahajcach Dużych), a na całość akademji składały się numery: szkoły, Koła Młodzieży Wiejskiej i nasze, tworząc rzeczową całość.

Tak więc rok ostatni przyniósł nam to, do czegó dochodziliśmy przez lat cztery drogą obserwacji, rad i uwag, udzielanych przez pp. profesorów i osób kompetentnych, wreszcie przez własne doświadczenia, wady i błędy. Ale to, do czegośmy doszli jest. naszą własnością, z której potrafimy skorzystać przy każdej okazji, a takich będzie wiele, bo nie jest to sprawa tylko Święta i akademji—wyjazdy dostarczały nam zawsze moc zagadnień z życia wsi i jej mieszkańców, ich zainteresowań, poglądów dążeń, i t. p., dały możność spojrzeć z poza kręgu zainteresowań życia szkolnego w rzeczywiste życie terenu. *Janina Żułkosiówna.*

BRATNIA POMOC

Nie mam zamiaru pisać długiej i wyczerpującej historji Br. pomocy. Zostało już uczynione dwa razy i znaleźć to mogą ciekawi w numerach „Naszego Widnokręgu" z ubiegłych lat.

Postaram się, natomiast, krótko prześledzić rozwój ideologiczny tej organizacji.

Już w czasie swego nieoficjalnego jeszcze istnienia (lata 1922-24) kładzie Br. Pomoc duży nacisk na dostarczanie młodzieży raczej rozrywek kulturalno-oświatowych aniżeli pomocy materjalnej, Urządza się więc odczyty na tematy czerpane z rozmaitych dziedzin, przedstawienie, inscenizacje, i t. p. imprezy. Cieszą się one powodzeniem. Młodzież uczęszcza na nie licznie i chętnie, współpracuje z organizatorami

Trudno jest stwierdzić obecnie jaki poziom miały wyżej wspomniane imprezy, w każdym bądź razie pewne wartości wnosiły w życie młodzieży i tego zaprzeczyć nie można.

Organizacja dojrzewa. Pracuje pod dzielnem kierownictwem ówczesnego Dyrektora p Paluchowskiego i juz w roku 1924, stając się organizacją oficjalną, zrzesza całą młodzież licealną. Zakres działalności znacznie się rozszerza. Powstają działy główne:

a) kulturalno-oświatowy
b) teatralno-rozrywkowy
c) finansowy
d) sportowy

Te dzielą się na sekcje i kółka: polonistyczne, historyczne, krajoznawcze, pedagogiczne, fizyko-matematyczne i i. Kierują, a zarazem i współpracują z sekcjami pp Profesorowie. Oto kilka przykładów pracy. Sekcja teatralno-rozrywkowa urządziła dwa odczyty i dwa przedstawienia („Zemsta" Fredry i „Kordjan" Słowackiego)

Na zebraniach kółka historycznego wygłoszono referaty o treści dotyczęcej rozbiorów Polski. Staraniem kółka krajoznawczego został wyświetlony w kinie licealnem (Istniał jeszcze w sali Kolumnowej aparat filmowy) film: „Konstantynopol", oraz założono pisemko krajoznawcze „Nasz Widnokrąg"

Kółko fizyczne zorganizowało popołudniowe lekcje fizyki dla słabszych uczniów t. zw. seminarja. Dodajmy do tego wszystkiego jeszcze to, że w ciągu roku funkcjonowały biblio-

teka i czytelnia czasopism, a da nam to wcale pokaźny dorobek jak za jeden rok.

Z satysfakcją czyta się protokół, w którym protokulant podkreśla czynny udział młodzieży w poczynaniach zarządu Br Pom. Dla seminarzystów jeszcze milszą rzecza będzie to, iż prezesem Br. Pom, w tym właśnie roku był kol. Korzyński z V-tego kursu.

Lata następne przyniosły zmiany, jak mnie się wydaje, na gorsze.

Oto Br. Pomoc przeistacza się powoli w instytucję niosącą pomoc ściśle finansową, materjalną. Zmieniają się prezesi.

Raz z gimnazjum raz z seminarjum. Nawiązuje się, wprawdzie bardzo powoli, współpraca seminarjum z gimnazjum.

Te działy, które miały charakter naukowo-wychowawczy, zanikają zupełnie. Powstają nowe, dochodowe, jak: introligatornia, czapkarnia, wreszcie sklepik „Prąd" i i. Urządzane jeszcze imprezy sportowe, loterje, czy też zabawy obliczone są jedynie na zysk.

Pieniądze te wprawdzie idą na stypendja. I stypendja te są powiększane z roku na rok, lecz to jeszcze nie jest tem, co uważam za głębsze w swej istotcie i co zostało w nowym statucie z roku 1932 uwzględnione jako jeden z celów, mianowicie:

„popieranie szlachetnych dążeń i przyzwyczajanie do pracy społecznej młodzieży..."

Statut ten jest dziełem specjalnej komisji w skład, której wchodzili członkowie z Seminarjum, a przewodniczył i bodaj największe zasługi położył kol. Gamułka z V kursu.

Otóż tego, co zostało podkreślone w statucie, w życiu absolutnie nie widać. W czem tkwi przyczyna? Czy brak inicjatywy i rzutkości ze strony zarządów, czy też ospałość i obojętność, ba, nawet brak zrozumienia i posłuszeństwa ze strony młodzieży? Zarządy skarżą się na bierność i oporny stosunek członków,—członkowie wytykają niedołęzność Zarządów. I w tem tkwi sęk.

Kto ma rację trudno jest powiedzieć jedno jest pewne: cel wyżej wymieniony nie jest osiągnięty. Nie przeczę, iż mógłby on być urzeczywistniony nawet w warunkach obecnych, tembardziej, iż mieliśmy niedawno przykład: wystawa rysunków kol. Tiunina. Pomoc materjalna—ale w jak ładny

sposób pomyślana! Każdy z nas szedł z przyjemnością oglądać obrazy. I to był pozytyw.

Takich pozytywów, sądzę, byłoby więcej, gdyby powrócić do dawnego stanu rzeczy, wznowić np. taki dział kulturalno—oświatowy czy też teatralny. Naturalnie inne ujęcie, inne ramy, program, ale przecież sądzę, że Br. Pomoc weszła na lepsze tory.

Ktoś powie, że jestem konserwatystą, że przecież istnieją t. zw. Koła Żywego Słowa, kółko literackie, wychodzi: „Nasz Widnokrąg" i t. d Dobrze

Ale przecież one nie obejmują ogółu młodzieży, nie mają takiego znaczenia i wpływu, jaki może mieć Br Pomoc. Owszem, w statucie nawet jest powiedziane, iż zarząd „współpracuje z isniejącemi organizacjami młodzieży". Ale i tego nie widać absolutnie. A szkoda!

Kończąc, rzucę myśl: Nawiązać poczynania do dawnych lub też zorganizować szerszą współpracę z istniejącemi Kołami wtedy, według mnie Bratnia Pomoc odpowie zadaniu.

Korczakowski Gleb
prezes Br. P.—Seminarjum.

HISTORJA „C. K. W."

Rok 1935 wymagał od młodzieży L. K. więcej wysiłku, aniżeli inne lata.

Był to piętnasty rok istnienia wskrzeszonego L. K.

Rada Pedagogiczna złożyły w ręce młodzieży inicjatywę co do urządzenia obchodu 15-lecia Liceum, ograniczając się do dania opiekuna dla komisji to święto przygotowującej.

Na zebraniach wójtów sprawę tą zaczęła młodzież załatwiać drogą dyskusji nad programem obchodu 15-lecia.

Sprawa szła dość opornie,—nie orjentowano się w chaosie licznych projektów, czy dany projekt da się wykonać.

Wreszcie dnia 24 I 35 roku na zebraniu Rady Wójtów z ust jednego kolegi padają słowa: „brak jest na terenie naszej szkoły jakiejś centralnej władzy wykonawczej, którąby zjednoczyła władzę wszystkich organizacyj i Radę Wójtów, a przed którą musiałyby odpowiadać organizacje i klasy za wykonanie powierzonych im prac...".

Projekt został poddany pod dyskusję w klasach i na następnem zebraniu prezesów organizacyj młodzieży i wójtów

klas wybrano przewodniczącego C. K. W (centralnego komitetu wykonawczego).

Przewodniczącym został wybrany kol. Siemaszko kurs IV S., który oprócz tego miał wybrać z klas maturalnych dwie osoby do współpracy.

Ostatecznie w skład prezydjum C K W. weszli kol. Owadisówna kl. VIII. i kol. Kwaśnik kurs V. Sem Na jednem z następnych zebrań. pod kierownictwem kol. Siemaszki ustalono punkty programu obchodu 15-lecia Liceum.

Następnie prezydjum C K. W. nawiązało kontakt z młodzieżą szkół licealnych w Białokrynicy i Smydze.

Wobec tego, że klasy i zakłady szkolne same się zgodziły do wykonania poszczególnych punktów programu, cała praca C K. W. przeniosła się na dopilnowanie tej pracy. C. K. W odbierał sprawozdania z postępu prac

Naskutek dużej ilości punktow programu i dłuższego czasu trwania obchodu, bo aż 3-dniowego, wchodziły duże trudności w ułożeniu programu obchodu, lecz sprawę tą załatwił C K. W. w obrębie prezydjum. Troje osób spędziło wiele godzin na kombinowaniu programu. Nazywam to kombinowaniem, gdyż nielada to była sztuka, ażeby punkty zależące w dużej mierze od czasu, miejsca wykonania, pogody i t d. nie wchodziły z sobą w kolizję. Po licznych przestawieniach program był gotów i po zatwierdzeniu przez władzę szkolną został podany ogółowi młodzieży.

Nadeszły dnie święta licealnego. Święta takiego, jakiego życzyliśmy. To co postanowiono wykonać—wykonano.

Nadeszły takie chwile, jak: uroczysty moment wręczania młodzieży sztandaru – godła jedności i wspólnych idei, następnie—otwarcie wystawy prac młodziezy L. K. Albo chwile zawodów z Rydzyną,—zacięta i honorowa walka o każdy centymetr, każdą sekundę i każdy punkt.

Zapewne każdy pamięta to zadowolenie z jakiem otwierał broszurkę o L. K. wydaną przez młodzież Seminarjum.

Lecz jak wszystko ma swój koniec, tak i święto licealne skończyło się.

Przyszła chwila zastanowienia, czy wszystko wykonano tak, jak należało się i jaka jest opinja tych, którzy byli widzami.

Opinja ta, była bezspornie dodatnia, lecz co najważniejsze—nasze sumienie, ten sędzia najsurowszy, stwierdzało, że

zdaliśmy egzamin, że pracą naszych nauczycieli nie poszła na marne.

Lecz musimy pamiętać o tem, co zawdzięczaliśmy C.K.W. jako kierownikowi całej młodzieży licealnej. musimy pamiętać o pracy i energji jaką włożył C.K.W. w przygotowanie i ostateczne zmontowanie całości obchodu. Musimy się przyznac, że były chwile załamania, niedociągnięcia w pracy przygotowawczej i nie załamaliśmy się dzięki postawie członków C.K.W. Zostały przełamane trudności w dużej mierze dzięki energji i zapałowi C.K.W. i wynik pozytywny przygotowań należy położyć na karb tego, że potrafiliśmy się odpowiednio zorganizować.

Po swięcie licealnem nastąpiło odprężenie, zbliżał się koniec roku szkolnego.

Do rozważania możliwości dalszego istnienia C K. W. przystąpiono z początkiem roku szklnego 1935/36.

Na jednem z zebrań. delegaci młodzieży zakładów w Białokrynicy i Smydze, oraz prezesi organizacyj i wójtowie klas wypowiedzieli się za dalszem istnieniem C.K.W.

W życiu młodzieży będą momenty wspólnej działalności na polu społecznem.

Na tem samem zebraniu nazwa „Centralny Kemitet Wykonawczy“ została zmieniona na „Zjednoczenie Młodzieży L. K“, lecz to nie zmienia postaci rzeczy.

Młodzież, pamiętając o tradycji, będzie wnosiła w życie szerszego społeczeństwa swe zdobycze duchowe i materjalne pod kierownictwem „Zjednoczenia Młodzieży L. K.

Mnie, jako przedstawicielowi kończącego się Seminarjum tej grupy młodzieży, która włożyła wiele pracy w dzieło utworzenia C.K.W. przypada zebranie tych momentów, w których działalność młodzieży Seminarjum specjalnie się zaznaczyła. Już sama idea utworzenia C. K. W. była wysunięta przez jednego z uczniów Seminarjum to jest kol. Siemaszkę.

Oryginalność tej myśli nie da się zaprzeczyć mimo, że sprawę tą poruszono jednocześnie w innej grupie młodzieży.

To, że myśl ta wypływa jednocześnie w dwu grupach młodzieży świadczy o tem, że idea zjednoczenia młodzieży licealnej miała dostateczne przygotowanie.

Niewątpliwie duże zasługi na tem polu położyła Redakcja „Naszego Widnokręgu“, która nawiązała kontakt z młodzieżą szkół w Białokrynicy i Smydze.

Pracę organizacyjną wykonało Prezydjum C.K.W., w skład którego, jak już zaznzczyłem, weszły dwie osoby z Seminarjum i jedna z kl. VIII-ej.

Następnie chcę zaznaczyc, że inna młodzież Seminarjum, jako młodzież starsza, bo kursu IV-go i V-go wniosła wiele inicjatywy w organizowanie C.K.W.

R. Markiewicz.

NASZE WYCIECZKI...

Motto: „Podróż, jest zwycięstwem!!...
(przysł. arabskie)

...odbywać według zasady „poznaj i pokochaj swoje najbliższe otoczenie, a będziesz bardziej twórczym i wartościowym obywatelem swej Ojczyzny"—dzieliły się zasadniczo na:

a) jesienne—małe, nie przekraczające zwykle trzech dni i granic Wołynia.

b) wiosenne—duże, w celu poznania innych regjonów Polski.

Nie był to jednak szablon. Zmiany w podanym schemacie zachodziły zależnie od obranej trasy, warunków materjalnych, a często klimatycznych i terenowych.

Bezwątpienia, najwięcej korzyści odnosiliśmy z wycieczek wiosennych, organizowanych i przygotowanych przez nas z jak największą energją.

Były to bowiem wycieczki przekraczające zwykle Wołyń, albo skierewane do najbardziej nieznanych jego okolic. Nieznajomość terenu i warunków tamtejszych powodowały głębsze i szczegółowsze przygotowanie

Stronę organizacyjną wycieczki dałoby się mniej. więcej zamknąć w następujący schemat:

1) Opiekun klasy.

2) Kierownik wycieczki i podlegający mu

I. Zarząd w składzie:

a) Gospodarzy prowiantowych.

b) Skarbnika.

c) Sekretarza

d) Kwatermistrzów.

e) Kronikarza.

II. Klasa podzielona na grupy z ich przedstawicielami.

Prócz tego, już w czasie trwania wycieczki, istniała fun-

kcja aptekarza i wspólnego fotografa.

Za sprawność organizacyjną przed opiekunem klasy odpowiadał kierownik. Za humor oraz stan żołądka, jak łatwo domyśleć się—gospodarze.

Był to „urząd“ najkłopotliwszy i najdrażliwszy „ze względu na menu“. Już na długo przed wycieczką było się świadkiem szalonych dysput między gospodynią a gospodarzem wycieczki, na temat jakości i ilości spożycia prowiantów przez uczestników Przy sposobności nadmienić należy, że przy układaniu „menu“ wycieczkowego, wielkie znaczenie miały Kursa gospodarcze. Niektóre bowiem prowianty jak: ciastka, makaron i sucharki przygotowywały koleżanki na miejscu, w ten sposób oszczędzając na naszym skromnym budżecie.

Ta samowystarczalność sprawiała zazwyczaj wielkie trudności w ekwipunku. Wielka ilość wyprodukowanych ciastek lub sucharkow zmuszała wycieczkę do wzięcia ze sobą koszów.

W konsekwencji tego zdarzały się, że ten, na ktorego przypadała kolejka niósł kosze na plecach przez x ulic we Lwowie.

Czasem naskutek niepraktyczności gospodarzy i niefortunnych obliczeń, jadało się śniadanie złożone z kakao i białego chleba z masłem i wędliną. A w kilka dni później takie samo śniadanie składało się z herbaty i suchego chleba.

Takie i podobne temu nastręczały się trudności przy sprawowaniu tego „urzędu“. I trzeba było nielada genjalności, by im podołać.

Ciekawą, a zarazem niemniej trudną i odpowiedzialną, bywa funkcja kwatermistrzów, Byli oni w czasie wycieczki jakoby jej awangardą. Przed miejscem dłuższego postoju lub noclegu, wysyłani naprzód, badali pozycje. A więc: wynalezienie kuchni, jeżeli nocleg to ulokowanie wygodne obu płci.

Dokładna znajomość rozkładu jazdy P.K.P. na potrzebnych odcinkach. wyszukanie fur, czy autobusów na dogodnych warunkach i t.p.—to wszystko na głowie kwatermistrzów.

Na dodatek pierwsze zetknięcie się z obcymi ludźmi, jeżeli to wieś, to częste zetknięcia się z psami, ktore to spotkania nie należą do zbyt przyjemnych.

A propos: Gdy pies jest zbyt zgryźliwy i rzuca się, wtedy należy stanąć w miejscu, zdjąc kapelusz i przytrzymać go zębami; pies, zwinąwszy ogon pod siebie powoli odejdzie.

Receptę tą polecam, jako niezawodną w praktyce. Do skarbnika należało ściągnięcie składek, czynionych w miarę potrzeby przez klasę na wycieczkę, oraz opieka nad kasą w sensie ciągłego noszenia przy sobie wszystkich pieniędzy i wydawania ich na potrzeby za pokwitowaniem podpisanem przez opiekuna i kierownika wycieczki.

Sekretarz załatwiał korespondencję, tak przed, jak powycieczkową. Kronikarz zbierał kroniki poszczególnych dni wycieczki od zgłodzonych ochotników i redagował je w kronice klasowej.

Do grupowych należała opieka nad przydzielonemi prowiantami, ewentualnie nad naczyniami kuchennemi, oraz usprawnienie sprawdzania członków wycieczki i niektórych funkcyj wykonywanych przez cały zespół danej grupy.

Nad całością czuwał kierownik wycieczki, który miał obowiązek wglądania we wszystkie powyżej wspomniane resorty i możność inicjatywy w sprawach związanych z całością wycieczki.

On też w wielu wypadkach reprezentował całość—a w niektórych wypadkach zastępował opiekuna wycieczki.

Tak przedstawiała się w większości wypadkach sprawa organizacyjna naszych wycieczek.

Zdawałoby się—duża machina. Lecz wyraźne i jasne określenie zasięgu działalności poszczególnych „urzędów" usprawniało wycieczkę i usuwało „nastawanie na pięty", tak częste w tego rodzaju poczynaniach.

Nie tu miejsce na wykazywanie zdobywanych wartości tak osobistych, jak i społecznych przez wycieczkę.

Nie jest moim celem powtarzanie utartych komunałów o wielkich, odniesionych z niej. korzyściach. Chcę podkreślić tylko to, co właśnie było najcharakterystyczniejszem.

Nasze wycieczki nie były czemś przypadkowem. Trasa i cel każdej były głęboko przemyślane prred zrealizowaniem.

Z pośród kilku projektów tras zgłoszonych przez ochotnicze komisje wybierał się ten, który miał najwięcej wartości ze względu na nasz przyszły zawód, lub ten, któryby wzbogacał nasze wewnętrzne przeżycia.

Tu dodać należy, że duża, wycieczka wiosenna odbywana zwykle tuż przed końcem roku szkolnego, była rzec można koroną całorocznej pracy. Mało tego. Zsumowało się na niej zdobyty dorobek życiowy—jeżeli czas pozwolił, wyjaśniało się

tam sprawy drażliwe, istotne, które nie były należycie rozpatrzone ze względu na brak czasu w ciągu pracy szkolnej.

W obcych okolicach, zdaleka od normalnych warunków, ustalaliśmy własny pogląd na sprawy istotne, związane z życiem, naszemi sprawami i zagadnieniami nas interesującemi.

Zdawałoby się więc, że wycieczki nasze nosiły wszystkie cechy wycieczek poważnych, niemal naukowo ponurych. Tymczasem wcale nie.

Były to poprostu okresy jak najszczerszego i zdrowego humoru i entuzjazmu.

Dla przykładu kilka fragmentów z kronik.

Oto jak kronika kursu V z 1934/5 r. obrazuje nastrój jazdy w pociągu:

...„Z wrzaskiem i hałasem udaliśmy się na stację. Ulokowawszy się w wagonie, niektórzy zaczęli chrapać na głos, inni zaś o większym zasobie bohaterstwa, długo walczyli ze snem, rozprawiając wpółprzytomnie na temat naszych wrażeń z Krakowa, wygadując przytem rzeczy niezbyt wiarygodne, co chlubnie świadczyło o ich wyobraźni i fantazji..“*).

Tak—jednostajność jazdy pociągiem usypiała, ale tylko słabych duchem. Silniejsi w tym czasie układali, doprowadzali do porządku swoje wrażenia, które mniej więcej w takiej formie jak:

...„Leci skoczna nuta, grzmią chłopcy jak z beczek
Leci piosnka cudna: „Siwy gółąbeczek“!..
Oj, dana...*)

utrwalane były w kronice

...„Bierzemy wór z chlebem i jaja na twardo
I do poczekalni maszerujem hardo!
Oj, dana...*)

W tej zwrotce wypowiedział się. Często spotykany typ na wycieczce, „głodomór“, który swoje wrażenia duchowe podporządkowywał i uzależniał od stanu żołądka.

Czuję, że chcieliby Czytelnicy dowiedzieć się o dalszych losach tej wycieczki. Otóż po zwiedzeniu Krakowa udają się wycieczkowicze do Wieliczki. Zwiedzają kopalnię soli.

Piękne, cudowne—jakie śliczne!

W zachwycie—mimowoli zabłąkała się nuta „starego“ krakowiaką:

„...Hej! cóż to za czary, hej! cóż to za dziwy?

*) Kronika kursu V e 1934/35 r.

Jest że to świat z bajki, czyli też prawdziwy?...
Oj dana...*)

Tak w otoczeniu piękna coś ponosi, „coś“, co rozsadza piersi—co ma twardośc hartowanej stali, a potęgę piorunu—i siłę zwycięstwa...

Na dowód, że przeżycie piękna jest mniej więcej podobne u wielu wycieczek, przytoczę fragment z kroniki innego kursu—(Rzecz dzieje się w pociągu na linji: Kraków-Zakopane)

...Hej idem w las,
piórko mi się migoce
Hej, idem w las,
dudni ziemia kie kroce“ ...

nuci sobie dziarski jakiś piewca gór, siedzący obok sennego poety kursowego.

Koło mnie chrapie rozkosznie jakiś starszy jegomość.

— Zosiu, czy plecak z masłem już ulokowany?— dopytuje się łaskawie gospodarz.

— Słuchaj, czy nie mogłabyś się trochę posunąć, chciałam stanąć obiema nogami!— słyszę błagalny szept którejś.

— Niesłychane, niesłychane.. powtarza jeszcze wzburzony p. profesor.

— Nianiu, księżyc wzeszedł, opalaj się — próbuje ktoś żartować.

Ktoś wysiada, robi się trochę wygodniej, sadowimy się, jak kto może.

...„Hej idem w las
piórko mi się migoce“

— w dalszym ciągu (czy od początku) wyśpiewuje dziarski jegomość.

— Czy mogę postawić nogi na twoim plecaku?— słyszę pytanie.

— Tylko nie gnieć bardzo—pada łaskawa odpowiedź.

— Powoli senność ogarnia większość nas. Miarowy stukot kół rozprasza wszystkie myśli, każdy lokuje się jak może najwygodniej...

...„Hej idem w las“... twierdzi niestrudzenie zażywny jegomość...

Budzę się, ściślej mówiąc — przytomnieję. Już świta. W pierwszym porywie ciekawości zrywam się do okna—niestety

*) Kronika kursu V z 1934/35 r.
**) Kronika kursu V z 1935/36 r.

jest przepełnione głowami „naszych", słyszę tylko głosy: ślicznie, przecudnie—pięknie! i nawoływania: „popatrz, tam, tu, z tej strony, z tamtej strony; siedzę i zazdroszczę**).

Przeżycie piękna w wielkim stopniu zależne jest od patrzenia na dane zjawisko. Na wycieczce trzeba mieć oczy otwarte. Oto jak opisuje jeden kronikarz:

...„Zawrat!!! Idziemy na upragniony Zawrat—będą klamry, ta przyjemność lęku, niebezpieczeństwa;—drzę z niecierpliwości.

Przechodzimy obok kamienia Karłowicza, który tu zginął, przywalony lawiną, następnie obok Czarnego Stawu pod Kościelcem i nad Zmarzłym Stawem robimy odpoczynek łącznie ze śniadaniem, na którem ustalamy porządek wchodzenia na Zawrat.

„Płeć piękna", odpowiednio przeplatana „kwiatem młodzieży" męskiej— tworzy długi ogon, rozbawiony i wrzaskliwy—podniecony sensacyjnemi klamrami.

Co parę kroków śnieg, przez który musimy brnąć. Pomiędzy nim ścieka woda strumieniami i szemrze między kamieniami.

Nad nami hen, w górze, postrzępione szczyty.

Pogoda też nam sprzyja— co chwila niebo się wyjaśnia, świeci słońce w blaskach jego powstaje przed nami cudny widok, jak w bajce—w dole granatowy staw odcina się ciemną plamą od iskrzących się śniegów, a nad nim postrzępione szczyty. Woda szemrze, coraz to stromiej, znów odpoczynek— siadamy na kamieniach.

Dolina zalana słońcem, naokoło ściany nagich turni, pokryte śniegiem, po którym oko błądzi z jakimś szacunkiem— majestatycznie.

I w tej chwili czyta nam p. prof. coś z Witkiewicza— cicho, a cicho powtarza—jest tak dobrze, że brak słów.—Hen na dole za stawem maleńki, jak okruszynka—góral, co szukał laski. Śmieszny ten człowiek, gubiący się na tle przeogromnych szczytów, a my też tacy maleńcy wszyscy, ale lekko tak, wszystko utrapienie gdzieś znika...

Naprzeciw—w ścianie turni widać czerwoną żyłę rudy żelaznej— wygląda jak wstążka— ruszamy i oto upragnione klamry. Na gładkiej skale, żelazne klamry i łańcuch. Jedne za drugim wchodzimy w nerwowem podnieceniu, tak akbyśmy conajmniej biegun zdobywali—szczęśliwi winszujemy so—

**) Kronika kursu V z 1935/36 r.

bie—cieszymy się i naprawdę każdy nie wie dobrze, czemu jest mu tak wesoło. Teraz stale klamry—droga nie jest specjalnie niebezpieczna, ale wymaga zręczności.

Lecz kończy się miła droga, ostatni zakręt, gdzie stoi figurka Matki Boskiej— i jesteśmy na przełęczy, skąd rozpościera się cudowny widok na dolinę, Pięciu Stawow".

Dolina i szczyty—szczyty...

Jesteśmy na wysokości 2306 m Grań idzie na Walentkowę 2163, dalej biegnie na gładką przełęcz, Kostelnicą, Liptowskie, Mury—z tyłu—Hruby, Krywań Gorłuch—2663. Najdłuższa żyła żelaza odsłoniła się przez pęknięcie skały. Za stawami—piargi, mogące zasypać staw.

Teraz następuje perć, na łeb na szyję—zgóry po piargach, głazach granitowych, przeskoki, przewroty i bardzo oryginalny zjazd po śniegu. Nagle słyszymy ostry świst i dwa bure zwierzaki pomknęły i znikły między głazami.

— — — — — — — — — — — — —

Postanowiliśmy odwiedzić Siklawę, którą tworzy potok Roztoki. Lodowiec i woda wygładziły ścieżkę i kamyki. Spadamy na dół z 200 m.—naprzeciw mamy Buczynową dolinę i przełęcz Krzyżne. Obszar tu wapienno-piaskowowy. Zlewają się tu trzy strumienie. Przyczyną wodospadu jest różnica petrograficzna. U góry granity, niżej wapienie i woda je wybiła. Nad wodospadem taki huk i szum, że trudno do siebie mówić z odległośi pięciu kroków.

Ale wracamy—idziemy do Morskiego Oka. Przed nami widać granicę regli—dalej tylko turnie mchem pokryte są to: Granaty, Kozi Wierch, Orla Perć, Przełęcze Krzyżne i szczyty Wóloszyna.

Dalej dolina Roztoki, nad nią Świsłówka 1774 m. Koło niej przez Opalone do Morskiego Oka.

Z Buczynowej płyną strumyki—takie pocieszne niteczki wody. Wołoszyn—jest cały nadziany iglastemi szczytami t. zw. Wołoszynowskiemi szczotami. Już koniec lasów i kozówki. Pustemi żlebami toczą się kamienie i wody. Na wierzchu usuwa się zwietrzały dolomit.

Przed nami grzbiety: Murań, Hawrań—niektóre strome, a niektóre złagodzone przez lodowce.

Idziemy przez Opalone. Teraz schodzimy po zboczu—stromo—coraz niżej przez kosodżewinę. Spotykamy limby i jarzębiny.

W schronisku koło Morskiego Oka odpoczynek, herbata, idziemy zobaczyć jezioro. Idziemy koło Morskiego Oka nad Czarny Staw w górę. Naprzeciwko wodospad

Czarny Staw ma 84 m. głębokości, naokoło strome, urwiste szczyty.

Przed nami Ryzy, na lewo Niżne Ryzy, na prawo właściwe Ryzy—Wołowy grzbiet, Mięguszowiecki 2305 m.

Ze schroniska idziemy „marszem kadrowym" do schroniska w Roztoce—Śliczna droga i śliczne schronisko, kąpiel, kolacja i upragnione łóżko po mocno fatygującej drodze!!**)

— — — — — — — — — — — — —

Co jak co, ale dobre samopoczucie żołądka jest nieodzownym warunkiem miłych przeżyć. Niestety często zdarzają się sytuacje, że „miłe przeżycia" muszą buntować się przeciwko temu twierdzeniu o żołądku, który na wycieczce często nie domagał na t. zw. „potrzebę dużej konsumpcji".

Głos ma kronika:

...„Ciszę intensywnego spania rannego przerywa okrzyk—pobudka!—brzmiący bardzo przykro i zupełnie nie dorzeczy. Zamiast zachęty do dalszego spania, przerywa błogi sen. Ciepło koców ocenia się dopiero teraz—w rannem, mroźnem powietrzu gór. No, ale pobudka zawsze pobudką, tym razem trzeba wstawać!

Najpierw ostrożne ruchy rąk,—a przedewszystkiem nóg—to badanie czy Zawrat. A potem zwykłe ubieranie się. Wszystkie ułamki ciała czuję się doskonale. Żołądek trochę się jeszcze gniewa, ale do wszystkiego można przyzwyczaić się, a co dopiero do kaszy i to jeszcze jakiej gryczanej!

Trudno, jak para gospodarzy tak ją kocha, to nie wolno przerywać sielanki. Odtąd będzie nowe przysłowie „więcej zobaczysz, gorzej i mniej zjesz".

Myjemy się w ciemnej, —kryształowo czystej wodzie Białej rzece granicznej między Polską, a niegrzecznemi rodakami naszej Oleńki. Między temi „Poprczkami" jest podobno dużo ryżych, a to już dużo mówi.

Śniadanie—to miła niespodzianka, kasza jest dziś lepiej ugotowana. Mleko stosuje się jako środek antydławiący.

Śniadanie jedliśmy na dworze i pomiędzy jedną a drugą łyżką, można było rzucać okiem, tylko nie dosłownie, do menażki kolegi, albo na okolicę.

Jedno i drugie miało swych zwolenników. Pierwsi widzie-

**) Kronika kursu V z 1935/36 r.

li szybko ginące porcje kaszy, a drudzy—to, co było dookoła nas. A więc las świerkowy, skały, góry, rzeki, łąki, chmury, mgły, no i kilku górali.

Nie będę opisywał, bo zdaje mi się, że nie potrafię. Mogę stwierdzić tylko, że w oddali wyłaniały się, co pewien czas z mgieł, wierchy Tatr z nad Morskiego Oka

Po śniadaniu, plecaki na swoje miejsca i zaczynamy połykać kilometry. Dochodzimy do wodogrzmotów Mickiewicza. Dobre, ale Siklawa była lepsza. Imponujące jest to kotłowanie w krętem kenjonie. I my mamy swoje Colorado.

Lecz tu zostaję gratisowo obładowany pakunkiem i staję się, jak ta szkapa dorożkarska, nieczuły na piękne widoki. Mogę tylko określić stan drogi. Była dobra i często zakręcała. Jakieś dzikie pętle, jakieś cofanie się spowrotem. Po co? Można skracać. Ależ oczywiście!

No i zaczynamy skracać. Aż raz tak skróciliśmy, że trzeba było potem wydłużyć. Co zadużo—to nie zdrowo. A wszystkiemu winna sarna, która spokojnie pasła się na zboczu,

Co pewien czas oglądamy się i posyłamy ostatnie pożegnanie Tatrom. Może zobaczymy się, a może nie...

— — — — — — — — — — — — —

„Wkraczamy do zupełnie innej krainy. Teren falisty, łąki, lasy--to Podhale. Grzbietami wzgórz dochodzimy do Bukowiny.

Wieś najwyżej położona w Polsce, przytem miejscowość letniskowo-wypoczynkowa. Podobno z Bukowiny widać całe Tatry. Panorama ma byc cudowna. Tym razem Tatry schowały się za mgły. Widocznie pokochały nas za ten śpiew, odwagę i nasze ukochanie ich—i dlatego schowały się, aby nie pokazać łez wylewanych za nami.

Koło południa, gdy czekamy na obiad, zaczyna padac deszcz Wytwarza się nastrój senny—poczynamy drzemać, a niektorzy nawet spać. Jak to się człek przyzwyczaja ..

Po obiedzie ruszamy dalej.

...„nie widziałem, kiedy skończyła się Bukowina, a zaczął się Poronin. Miejscowość ta, opanowana przez ruch turystyczny, mocno na tem ucierpiała.

Charakter miejscowośi górskiej zaczyna się zacierać.

Kwatermistrze wysłani wcześniej, prowadzą nas na nocleg. Zajmujemy dwa ładne pokoje i co lepsze, śpimy na materacach i łużkach.

Kolacja i kładziemy się spać. Odpoczywamy po trudach

dnia. Ostatni dzień naszego pobytu w górach skończony.

Było ich mało, ale były piękne.

Zniżamy się ze sfer czystego powietrza górskiego coraz niżej. Zatrzymamy się aż w nafcie, nie dosłownie,—bo w Gliniku Marjampolskim, do którego jutro wyjeżdżamy.... **)

Poniżej podaję zestawienie wycieczek seminarjalnych.

Rok	Kurs	Trasa wycieczki	Czas trwania	Ilość uczestn.
1927/28	I	Krzemieniec—Ostróg	4 dni	44
	II	Krzemieniec—Zbaraż—Tarnopol—Lwów	5 „	35
	III	Krzemieniec—Warszawa	6 „	29
	IV	Krzemieniec—Kraków—Katowiec	8 „	36
	V	Krzemieniec—Michałówka	1 „	13
1928/29	I		—	—
	II	Krzemieniec—Smyga	1 „	33
	III		—	—
	IV		—	—
	V	Krzemieniec—Ostróg Krzemieniec—Tukowicze	4 dni 1 „	30 36
1929/30	wst.	Krzemieniec—Poczajów	4 dn.	22
	I	Krzemieniec—Lwów „ —Smyga	4 dn. 2 „	40 34
	II	Krzemieniec Smyga Krzemieniec—Poczajów—Wiśniowiec—Borsuki	1 dn. 5 „	12 33
	III	Krzemieniec—Suraż „ —Michałówka „ —Babin	4 dn. 3 „ 3 „	25 35 30
	IV	Krzemieniec Smyga „ —Ostróg	1 dn. 4 „	21 24
	V	Krzemieniec—Lwów—Kraków—Zakopane	6 dn.	34

**) Kronika kursu V z 1935/36 r.

Rok	Kurs	Trasa wycieczki	Czas trwania	Ilość uczestn.
1930/31	wst.	Krzemieniec—Chotówka „ —Wiśniowiec—Borsuki—Łanowce Dederkały	1 dn. 4 „	30 30
	I	Krzemieniec—Łanowce—Zbaraż—Wiśniowiec	4 dn.	35
	II	Krzemieniec—Wiśniowiec—Borsuki. Krzemieniec Lisznia Stożek—Antonowce—Smyga	3 dn. 3 „	42 30
	III	Krzemieniec—Wesołówka—Lisznia—Stożek—Antonowce —Smyga	4 dn.	22
	IV	Krzemieniec—Białokrynica „ —Wesołówka—Lisznia „ —Smyga „ —Kostopol—Janowa Dolina—Ludwipol—Korzec	1 dn. 1 „ 1 „ 6 „	20 23 15 23
	V	Krzemieniec—Szumsk—Malinów—Katerburg „ —Worochta—Jaremcze—Zaleszczyki	5 dn. 8 „	22 23
1931/32	I	Krzem.—Wesołówka—Lisznia—Stożek—Antonowce—Smyga Krzem—Dubno—Młynów—Targowica—Łuck	2 dn. 6 „	41 38
	II	Krzem.—Borki—Łanowce—Tarnopol—Trembowla—Zaleszczyki—Okopy Św. Trójcy—Chocim—Iwanie Puste—Tarnopol—Krasne	8 dn.	30
	III	Krzem.—Kraków—Wieliczka—Ojców „ —Jezioriany—Mizocz—Ostróg—Teremne—Malinów—Borki	9 dn. 8 „	35 23
	IV	Krzem.—Wesołówka—Antonowce—St. Huta—Suraż—Szumsk—Borki—Szumbar	8 dn.	26
	V	Krzem.—Borsuki—Łanowce—Tarnopol—Borszczów—Bilcze Złote—Zaleszczyki—Okopy Św. Trójcy—Iwanie Puste—Tarnopol—Łanowce	9 dn.	26

Rok	Kurs	Trasa wycieczki	Czas trwania	Ilość uczestn.
1932/33	II	Krzem.—Tylawka—Kąty - Noworodczyce—Nowomalin—Ostróg—Dermań—Mizocz	7 dn.	29
	III	Krzemieniec—Smyga	1 dz.	38
		„ Stożek—Antonowce — Smyga —Sapanów	3 „	35
	IV	Krzem.—Horynka	2 dn.	26
		„ —Wilno—Nowogródek	10 „	29
		„ —Szumsk	1 „	17
	V	Krzemieniec—Tarnopol—Zaleszczyki	10 dni	22
1933/34	III	Krzemieniec—Lwów—Borysław Worochta	10 dn.	30
		„ —Bereżce - Michałówka—Radziwiłłów—Brody—Podkamień—Poczajów—Dunajów	5 „	30
	IV	Krzemieniec—Lwów—Tarnów—Kraków—Zakopane	12 dn.	35
	V	Krzemieniec—Warszawa—Gdynia—Hel	13 dn	28
1934/35	IV	Krzemieniec—Kraków—Zakopane— Glinik Marjampolski	9 dn.	26
	V	Krzemieniec—Lwów—Sandomierz—Lódź—Toruń—Gdynia— Gdańsk—Bydgoszcz—Warszawa	15 dn.	30
1935/36	V	Krzemieniec—Warszawa—Pułtusk.—Gdańsk—Gdynia—Bydgoszcz—Poznań—Katowice—Kielce—Sandomierz—Lwów	21 dn.	25

Jeden rzut oka wystarczy, aby stwierdzić, że Seminarjum z roku na rok urządzało coraz to piękniejsze, różnorodniejsze i dalsze wycieczki.

Jest to objaw budujący szczególniej jeśli uwzględnimy, że w wycieczkach tych brali udział wszyscy z danego kursu. (Nie we wszystkich szkołach tak jest, niestety).

Urban-Kazimierz Piątowski

ŻYWE SŁOWO.

„Żywe słowo" w postaci: przemówień, przedstawień, deklamacyj, inscenizacyj było uprawiane przez młodzież seminarjalną w sposób szczególniejszy. Wszak jednem z wielu zadań nauczycieli jest propagowanie i kultywowanie pięknego słowa na powierzonych terenach pracy.

Trudno jest ustalić konkretnie, co było, i jak w latach dawniejszych. Przedsiębrane prace w tym kierunku nie były notowane, normalnym trybem poszły w zapomnienie, a orjentując się w wypowiedziach osób, pamiętających te czasy, dochodzimy do wniosku, że kultura „żywego słowa" istniała.

Zresztą młodzież w tym kierunku ściśle współpracowała z miastem. Zdarzało się, że musiała wyjeżdżać w teren, by tam wspólnie ze społeczeństwem obchodzić pewne chwile radosne lub smutne.

Były też wypadki, świadczące o ofiarności jej, wypadki wybiegające już poza obowiązek, jak n. p. zdarzenie w Poczajowie.

Skomunikowano się z tem miasteczkiem w sprawie jakiejś akademji. Młodzież miała przygotować jedynie przedstawienie. Przemową i innemi punktami ustalonego programu mieli zająć się mieszkańcy. Tymczasem goście po przyjeździe skonstatowali fakt, że nic absolutnie nie jest przygotowanego. I nie poprzestano na przygotowanem przez siebie przedstawieniu, lecz „dorobiono" drugą część programu, już na miejscu.

Wiemy dokładnie, jak przedstawiała się ta kwestja od 1928 r. Niemal każdy „wyczyn" słowny notuje nam „Nasz Widnokrąg" — zresztą są to czasy większości z nas bliższe. Powstaje wtedy oficjalne „Koło Żywego Słowa", nad którem opiekę podejmuje p. Ruskowa.

Kult żywego słowa przybiera na wadze tak gatunkowej, jak i ilościowej. Niebawem jednakże, dochodzi piękno słowa do najwyższego w dotychczasowem życiu szkół licealnych poziomu artystycznego, kieruje tem wszystkiem niezapomniana z prób, lekcyj dykcji, energiczna, pełna zawsze pomysłów p. Kunicka, artyskta „Reduty". Prace te jednak czy pod kierownictwem p. Kunickiej, czy p. Ruskowej nie były wykonywane tylko przez młodzież seminarjalną, współdziałała również młodzież gimnazjalna, często białokrynicka, a także i grono nauczycielskie.

Jaki jest więc wkład młodzieży seminarjalnej w tę pracę? Pełna zainteresowania i dobrych chęci miała zazwyczaj głos decydujący. Prace, zainicjowane w Kole, pobudziły w pierwszym rzędzie kursy seminarjalne do organizowania pewnych obchodów, urządzania przedstawień samodzielnie.

Od seminarjum wyszedł projekt organizowania i wypełniania programu rocznic i obchodów w ciągu roku przez poszczególne kursy i klasy.

W ten sposób „żywem słowem“ zainteresował się szerszy ogół. To spowodowało, że klasy w wielu wypadkach przechodziły nietylko na własne pomysły, ale i do użytkowania twórczości swoich kolegów.

Szkoła daje nam możność odczuć i przeżyć tak wiele pięknych, głębokich i wzniosłych chwil. Piękne „żywe słowo“ pod każdą postacią bogaci nas, wyrabia zmysł estetyczny i uczy jak mamy w późniejszem życiu realizować to wszystko w środowisku wiejskiem. Musimy być tymi, którzy przyczyniają się, do podniesienia ogólnego poziomu życia i bogacenia duchowego ludzi.

My, seminarzyści skorzystaliśmy wiele w tej dziedzinie i życzymy, aby kult żywego słowa znalazł zrozumienie w pokoleniu, które wchodzi dopiero w życie licealne.

Irena Stępińska

WSPÓŁPRACA MŁODZIEŻY SEMINARJUM Z KOŁEM MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ w ŻOŁOBACH.

Próby pracy młodzieży L. K. na terenie wsi sięgają dawnych lat. Kurs V r. 1928/29 projektuje cykl wypadów. W styczniu 1929 r. kurs w pełnym komplecie wyjeżdża do Bereżec. Wł. Danilczuk wygłasza pogadankę z obrazami świetlnemi o życiu w krajach podbiegunowych. Oprócz tego na program składa się inscenizacja bajek Mickiewicza i chór czterogłosowy.

Dalsze wypady nie dochodzą do skutku z powodu bardzo ostrej i długotrwałej zimy, a potem zbliżających się egzaminów maturalnych.

Kiedyindziej licealna drużyna harcerska organizuje wycieczkę do Wesołówki i tam przeprowadza zabawy z dziećmi wiejskiemi.

W r. 1932/33 poszczególni uczniowie V kursu Sem. doraźnie organizowali gry sportowe w kołach młodzieży wiejskich okolicznych wsi. Systematyczna współpraca z młodzieżą wsi Żołoby została zapoczątkowana przez wychowanków p. Falkowskiej Jadwigi —ówczesny kurs V. O pracach tego kursu piszę na podstawie artykułu kol. Horaka, umieszczonego w 7—8 zeszycie roku VIII „Naszego Widnokręgu" pt. „Próby pracy społecznej" oraz rozmów z członkami tego kursu.

Co kol Horak mówi o potrzebie i sensie tej pracy: „Dzisiejsze społeczeństwo polskie dąży do tego, by w każdym obywatelu, wchodzącym w jego skład i korzystającym z praw i opieki, wyrobić pewne świadome poczucie obowiązku względem Państwa i współobywateli.

Jednym z najważniejszych może obowiązków obywatela względem Państwa jest obowiązek pracy. Jej wartość zależeć będzie nie od rodzaju, a więc nie od tego, czy to będzie praca fizyczna czy umysłowa, lecz od tego, jakie będą wyniki tej pracy i o ile one przyczynią się bezpośrednio czy pośrednio do postępu danego społeczeństwa.

Jedną z form takiej pracy, będącej dopiero w początkowych stadjach swego rozwoju, a której wyniki są niewątpliwie już teraz pierwszorzędne pod każdym względem, jest praca, odbywająca się w Kołach Młodzieży Wiejskiej... Pracą tą kieruje przeważnie nauczycielstwo. Jest to praca trudna i odpowiedzialna... My, jako przyszli nauczyciele, postanowiliśmy zapoznać się z tą pracą, ażeby później nie stanąć wobec niej bezradnie i bezczynnie".

Organizacja tej pracy wyglądała w następujący sposób:

Na wiosnę 1933 r. przy układaniu programu pracy kursu na rok następny włączono w tem program zapoznanie się całego kursu z pracą w Kołach Młodzieży Wiejskiej i zgłoszono współudział w tej pracy. W tym celu przed końcem r szk. 1932/33 poproszono p. Zadrożnego o pogadankę, wprowadzającą młodzież kursu w zagadnienia pracy we wsi oraz wybrano komisję, która miała w przyszłym roku szkolnym wykonaniem pracy kierować

Na początku r. szk. 1933/34 cały kurs został zaproszony na Walne Zebranie powiatowego Komitetu Kół Mł. W. w Krzemieńcu, na którem zorjentował się w całokształtcie prac Kół Mł. W. Praca Kursu poszła w trzech kierunkach: 1. wyjazdy do różnych Kół na terenie powiatu w charakterze go-

ści; 2. systematyczna praca w Czuhalach i Żołobach. 3 omawianie swej pracy i poczynionych obserwacyj na zebraniach kursu. W jednym z tych zebrań w lutym 1934 r. wziął udział oprócz p. Zadróżnego, z którym kurs był w stałym kontakcie— p. Wizytator Poniatowski. Kilkugodzinna bardzo ożywiona i owocna dyskusja zmierzała do skrystalizowania roli młodzieży w jej współpracy ze wsią.

Członkowie tego koła ...„przygotowują odpowiednią pogadankę, względnie referat na temat, wysunięty przez członków Koła na zebraniu poprzedniem"... „wygłosiliśmy referaty na następujące tematy: „Zjawiska klimatyczne bezpośrednio obserwowane", „Ziemia jako całość we wszechświecie". „Historja Krzemieńca", „Człowiek pierwotny" i inne" ..— informuje nas kol. Horak.

W tem miejscu wypada zaznaczyć, że zespół organizacji pracy obywatelskiej młodzieży Straży Przedniej, który powstał w tymże roku, wybrał jako czołowy teren swej pracy wieś, przyłączając się do pracy kursu V-go. Nie przeszkadzało to w pracy ani jednym ani drugim, pracowaliśmy ręka w rękę, tembardziej, że w Kole Pracy na wsi zespołu S. P. znajdowały się trzy osoby, które jednocześnie były inicjatorami i najintensywniejszymi członkami Koła Kulturalno-Oświatowego na kursie V-ym. Jak bardzo prace zespołu i kursu V-go o siebie zahaczały świadczy fakt, że kierownik zespołu Fr. Czyżewski, pisząc w 7—8 nr. rok IX o Straży Przedniej, pisze o jej pracach w ten sposób: Wygłaszaliśmy na zebraniach Koła Mł. W. referaty, pogadanki na najróżniejsze tematy, wysuwane przez młodzież tamtejszą. Były to pogadanki o ciałach niebieskich, o przeszłości Krzemieńca i t. p.— Spytałby się ktoś —któż więc opracowywał te referaty, skoro przyznaje się do nich i zespół S. P. i kurs V-y?— W tej pracy niepotrzebna była nam marka, tu nie chodziło o to, pod jaką firmą się robi—referaty te wygłaszali członkowie kursu, którzy byli jednocześnie w zespole; oprócz nich oczywiście wygłaszali też nieczłonkowie zespołu—uczniowie kursu V-go, lub też strażowcy z innych klas. Poprostu—wygłaszałem ja, ty czy on. a z ramienia jakiejś organizacji, to było wszystko jedno—chodziło o to, aby była praca.

Równocześnie zespół S. P. zaczął na swych odprawach kwestję tą rozważać.

Ci uczniowie zespołu, którzy byli jednocześnie członkami

V-go kursu. byli wyrazicielami jego myśli i sądów na odprawach zespołu, a na teren swej klasy wnosili często poglądy i sądy o pewnych sprawach. do których wyrobienia przyczyniły się w dużym stopniu wspólne rozważania w zespole S.P. Piszę o tem, gdyż wpływu wzajemnego i współpracy tych dwu organizacyj nie da się pominąć

Spróbuję sformułować tok i wynik rozważań V-go kursu i zespołu S. P. nad systemem pracy. Wygłaszanie referatów zdawało się być pożytecznem tembardziej, gdy tematy były wysuwane przez słuchaczy. Ale teraz wynikła kwestja: czy słuchacz, podsuwając dany temat. podsuwał go dlatego, że naprawdę go nurtował, że naprawdę pragnął wyjaśnienia danej kwestji? Czy młodzież Żołobów i Czuhal głęboko i serdecznie interesowała kwestja człowieka pierwotnego, kwestja budowy wszechświata? Doszło się do wniosku. że—nie. Młodzież wiejska, chcąc nam zaimponować szerokością swych zainteresowań, podsuwała właśnie te tematy, lub gdy nawet jeden czy drugi z członków koła chciał się cośniecoś o danej kwestji dowiedzieć i miał pewne w tym kierunku zainteresowania, to nie było to zainteresowanie żywe, bo nie tyczyło się spraw żywotnych. Tę sztuczną sytuację stworzyliśmy my sami, bo czyż wieśniak powie panience, która przyjechała z miasta z ważną miną, kupą książek i z propozycją,— że ja wam coś dam. czegoś nauczę.— Czy wieśniak poprosi ją, by opowiedziała mu o racjonalnem nawożeniu pola, która to kwestja i jego sąsiada ogromnie interesuje—jest to kwestja tak mocno go obchodząca, jak widok kawałka razowca w garści swego dzieciaka.

Gdyśmy to sobie uświadomili, zaczęliśmy szukać nowych metod pracy. Pomocnym nam był wiele p Zadróżny. który bywał na zebraniach V-go kursu. jeździł nieraz z nim do różnych wsi, a również był i jest kierownikiem zespołu S P., oraz p. wizytator Poniatowski. który bywając na zebraniach, pomagał nam w wypracowaniu prawdziwego i rzetelnego sądu o wielu sprawach życia. Uznaliśmy w rezultacie, że młodzież, chcąca pracować społecznie, powinna najpierw zapoznać się z wsią, zrozumieć jej potrzeby, by dopiero móc jej coś dawać, nigdy nie przychodzić z gestem wyższości.— że my bardziej oświeceni przychodzimy. by wsi coś dać z siebie, a zdawać sobie ciągle sprawę z tego. że sami bardzo dużo od wsi się uczymy. Pozatem, jako młodzi, nieznający życia, nie

powinniśmy sami zapoczątkowywać pracę, lecz wchodzić w tok pracy już rozpoczętej, a więc np. pomagać w przygotowywaniu się młodzieży wiejskiej do konkursu dobrego czytania czy rolniczego.

Wraz z wyjściem kursu V-ego urwała się praca w Czuhalach; w Żołobach zaś nadal była kontynuowana przez zespół S. P. Kolega Czyżewski tak pisze w swym artykule o pracach w tym roku: „Chodziliśmy przez pewien czas i przyglądaliśmy się zebraniom młodzieży wiejskiej, staraliśmy się nawiązać z nią bliższe serdeczne stosunki.“

Skolei V kurs— wychowankowie p. Bergera— na jednem z zebrań klasowych w listopadzie postanowił podjąć w dalszym ciągu pracę kursu poprzedniego Na tem zebraniu postanowiliśmy, że cała klasa może brać udział w pracy, z tem, że jest grupa ludzi, stale interesujących się i chodzących do Żołobów, a inni, będą chodzić w miarę możności.

Fakt, że już znaliśmy się lepiej z młodzieżą w Żołobach, że nie staraliśmy się im czegokolwiek narzucać, a pomagaliśmy im początkowo w ich pracach, spowodował, że zaczęli zwierzać się ze swych trosk.— Mężczyźni opowiadali naszym kolegom, że często bywają oszukiwani przy sprzedaży czy kupnie, gdyż nie umieją dobrze rachować, nie potrafią mierzyć dobrze itp. Koledzy rozpoczęli z młodzieżą Żołobów naukę rachunków.

Koleżanki, rozmawiając z dziewczętami wiejskiemi, dowiedziały się o ich troskach: oto nie umieją one robić szydełkiem, a przydałyby się im i ich rodzeństwu ciepłe rękawiczki. Zaczęła się więc przy naftowej lampie nauka szydełkowych robót

Kol. Czyżewski pisze: „Raz w tygodniu chodziliśmy tam (do Żołobów) i koledzy przerabiali z młodzieżą męską rachunki i geometrję praktyczną, koleżanki zaś uczyły robót szydełkowych dziewczęta wiejskie. Drugą godzinę poświęcaliśmy teoretycznym przygotowaniom młodzieży do konkursu rolniczego i dobrego czytania książki... We wszystkich tych poczynaniach najważniejszem i istotnem było to, że zdołaliśmy wytworzyć atmosferę przyjaźni i zaufania między nami a młodzieżę wiejską. Z zebrań wracaliśmy zawsze naprawdę odświeżeni na duchu pod wpływem zapału młodzieży wiejskiej do nauki, do zdobywania czegoś nowego.

Ciekawe widzieliśmy przeżycie, które nas mocno zwią-

zało z kołem w Żołobach, mianowicie—tamtejsza młodzież, rozmawiając z naszymi kolegami, opowiedziała, że jest w Żołobach handlarz, żyd, który sprzedaje szklankami denaturat do picia. Znaleźli się tacy, którzy to widzieli. Jeden z naszych kolegów powiedział, że podejmie się zawiadomić o tem policję, młodzież była bardzo wdzięczna,—zgłosili się świadkowie. Kolega ten doniósł o tem, sporządzono protokół i przy końcu roku szkolnego odbyła się rozprawa sądowa, na której nieuczciwy handlarz został ukarany. W związku z tym wypadkiem odbyła się w Żołobach propaganda o szkodliwości alkoholu, opracowana przez kilku kolegów.

Oprócz poczynań wyżej wspomnianych pomagaliśmy młodzieży w pracy nad zagadnieniem spółdzielczości, oraz w omawianiu książek przeczytanych.

Koło w Żołobach jest kołem młodem i po raz pierwszy właśnie w tym roku przystąpiło do konkursu dobrego czytania. Sądzimy, że w pewnym stopniu nasza zachęta przyczyniła się do tego, że odważyli się na ten krok dla nich tak trudny.

W pracy, związanej z zagadnieniami rolniczemi, pomagali koledzy z Białokrynicy, którzy wyjaśniali kółkowiczom pewne niejasności broszur, oraz wskazywali na sposób zastosowania nabytych wiadomości do gatunku gleb i innych warunków wsi Żołoby.

Często wraz z nami chodziła młodzież ówczesnego kursu V-ego oraz VIII-ej klasy.

Gdy ktoś się zapyta, jaką korzyść komu przyniosły te nasze wędrówki do Żołobów,—odpowiem, że najwięcej skorzystaliśmy my sami. Fakt, że musiało się nieraz w deszcz, błoto, mróz i zawieruchę iść,—bo się umówiło, bo się obiecało, uczył nas pokonywania w sobie zamiłowania do pewnej wygody, fakt, że się poznawało ludzi inaczej myślących, inaczej żyjących, że się poznawało poczynania społeczne, poczynania ważne,—że się stykało z żywą rzeczywistością—przyczynił się, dopomógł nam w wyrabianiu swego światopoglądu i uczynił nas dojrzalszymi.

Co koło skorzystało?—Samo zetknięcie się z ludźmi bardziej wykształconymi, sam fakt zaistnienia szczerej i obopólnej sympatji, nie mówiąc o pewnych wiadomościach, uzyskanych od nas, dał kolegom naszym wiejskim sporo przeżyć, które odegrają pewną, bezwątpienia dodatnią, rolę w ich życiu.

Obecnie współpracę z kołem w Żołobach prowadzi w dalszym ciągu zespół S. P.. który nadal idzie metodami wspólnie wypracowanemi przez młodzież seminarjum i zespołu Straży Przedniej.

J. Sułkowska Gimnazjum kl. VIII

O CZEM SIĘ NIE MÓWI...
(oficjalnie, rozumie się)

Dlaczegoż-by nie umieścić jeszcze w tym numerze kilku anegdotek? Wprawdzie każda szkoła i szkółka ma ich mnogość i to, że my możemy się niemi „poszczycić" nie jest niczem oryginalnem. Ale tak kilka . .

— — — — — — — — —

„Nie tak to illo tempore bywało", kiedy wąsaci. żonaci, „leguni", uciekinierzy z za kordonu. uczestnicy i widzowie Wielkiej Wojny,— nasi koledzy, zasiadali na ławach naszej szkoły.

O tych czasach krążą poprostu już legendy. Pewne momenty rosną do ogromnych rozmiarów. drugie zostają pominięte. Wiemy, że „grandzono, hulano. ale na tem kończą się te nasze wiadomości. Przez „nasze" rozumiem wiadomości tych wszystkich, którzy kończą licealne szkoły już po roku 1930-ym.

A czy nie budujący jest taki fakt.

Rok 1922. Przyjechał do Liceum wizytator kuratorjum wołyńskiego. Liceum wtedy nie było jeszcze wydzielone. I gdy wieczorem o godz. 11-ej powracał do miejsca chwilowego zamieszkania u p. Moczulskiego, ówczesnego dyrektora Seminarjum. przed drzwiami jego mieszkania został napadnięty przez dwóch osobników, uzbrojonych w rewolwery. Ci zrewidowali go i wylegitymowali. a następnie przepraszając wyjaśnili, że są uczniami IV-go kursu Seminarjum. Więc co to znaczy?

Otóż okazało się, że dowiedzieli się skądś o planowanym zamachu na życie p. dyr. Moczulskiego, wobec czego nic mu nie mówiąc, przez dwa tygodnie, co nocy dyżurowali po dwóch, pilnując..

— — — — — — — — —

Przekonany jestem. że o tem mało kto wie. albo nikt. Tymczasem znane są i cenione wysoce takie np. fakty:

Tę powojenną młodzież trudno było inaczej utrzymać w dyscyplinie, jak przez zorganizowanie jej życia na modłę wojskową. Podzieleni więc byli uczniowie na plutony z plutonowymi na czele, odpowiedzialnymi przed kierownikiem internatu.

I był tam taki pluton t. zw. karny, w skład którego wchodzili ci wszyscy, którzy coś przeskrobali. Mieli też swego plutonowego. Oni to, za karę, musieli zamiatać salki w internacie, myć podłogi, nosić drzewo i in. Mimo tych zajęć pluton zawsze był pełny.

W życiu towarzyskiem między chłopcami uprawiany był nagminnie i z powodzeniem t. zw. „salonowiec“. Gra naogół znana. Obejdzie się bez wyjaśnień.

Raz na tydzień, powszechnie lubiany i szanowany tak przez młodzież jak i przez Grono, które dziwiło się: jak z tymi „bandytami“ można wytrzymać,— ówczesny p. kierownik internatu robił wykłady na temat zachowania się wogóle. A więc np.: „Nie należy w ten sposób krajać mięsa“— i przy tych słowach rozpierał się i z takim zamachem rżnął chleb na talerzu, że nie pozostawała na nim kruszynka. Wszystko na stole.

Potem śpiew. Bractwo siedzi na ławkach, stołach, szafach, niektórzy stoją. P. kierownik dzieli na głosy i zaczyna: „Kaśka, Maryśka, Małgośka, Hanka — i cała sala z całych płuc za nim. W odpowiednich miejscach świst wykonany „precyzyjnie“ przy pomocy palców w ustach przez olbrzymią część obecnych. Ci, co siedzą na szafach walą obcasami w ściany, kto może stołkiem w ziemię,— szczęśliwcy: przygotowaną deską w stół...

— — — — — — — — —

Takie i podobne fakty są znane. Nie można temu znów bardzo się dziwić. Bo gdy tamta młodzież wyszła z murów licealnych, już ta następna była o wiele spokojniejsza. Były, coprawda, rozmaite kawały, ale nie przekraczały ani rozmiarem, ani jakością, granic internatu, czy szkoły.

Swego czasu tam, gdzie obecnie kancelarja internatów, mieściła się klasa Ćwiczeniówki. „Wkuwacze“ skądś dostali klucze i tam w spokoju uczyli się. „Usłużni“ koledzy dowiedzieli się o tem i pewnego razu zamknęli klasę od zewnątrz. Biedacy musieli bez kolacji spać na gołych ławkach. Delikwenci! cześć!

— — — — — — — — —

Swego czasu krążyła o jednym z dyrektorów taka anegdotka

Był naogół małomówny, co nie przeszkadzało, by lubiła go młodzież, której on również odwzajemniał się swoją miłością.

Wyjechał więc ten dyrektor z inspektorem w teren na hospitacje. Ponieważ droga była daleka, błotnista, nudna, inspektor starał się nawiązać rozmowę. Pomimo poszukiwania coraz to nowych tematów djalog nie mógł się nawiązać. Towarzysz milczał, a jeżeli mówił, to: „Tak". „Nie". „Hm,..."

Po kilkunastu kilometrach wzięto się do jedzenia. Inspektor na nowo rozpoczął ofensywę. Spełzło na niczem. Zrezygnował. Nie omieszkał jednak zwrócić uwagi: „Panie dyrektorze proszę uważać, bo można wylecieć w bajorę".

Po przejechaniu kilku kilometrów przechyla się bryczka, leci inspektor w błoto, a na niego dyrektor.

Po następnych dwudziestu niespełna kilometrach jazdy rzekł p. Dyrektor: „To, to, właściwie p. inspektorze, zdaje się, że to ja powinienem pana właściwie przestrzec".

— — — — — — — — —

Kiedy Liceum otworzyło jeszcze jedną nową szkołę, trzeba było nielada wysiłku, by ułożyć podział godzin. Byli pp. profesorowie uczący w trzech, czterech zakładach.

Pewnego dnia na początku roku p. Dyr... przyszedł do pokoju nauczycielskiego i tam w gimnazjalnym podziale godzin poczynił pewne zmiany. Na tablicy widniało ostrzeżenie:

„Baczność! w planie zmiany".

Na dużej przerwie przyszedł drugi p. Dyr.... i czytając pyta się stojących obok profesorów: „Co to za zmiany?" Nikt nie wie. W planie trudno odnaleźć. Wobec czego zainteresowany pisze:

„Spocznij! Zmian niema".

— — — — — — — — —

A teraz coś niecoś z życia autorów artykułów tego numeru, piętnastej matury. Oto strona „intelektualna" — wyjątek z kroniki kursu IV-go.

...„Otóż po dostatecznem wgłębieniu się w dziedzinę elektromagnetyzmu, uważam za konieczne podać ogółowi wyjaśnienie niektorych trudniejszych terminów metafizycznych.

A więc: „Reguła Cruciani" — pytanie się z przydziałów przy pomocy kruczków.

„P. prof. Zienkowicz i notes“ — przewodnik i baterja naboi ujemnych

„Ucz. IV kursu i tablica“ — dwa magnesy równoimienne, odpychające się.

„Moment skręcający—czwartokursista przy tablicy skręca się w stronę pozostałych, dając rozpaczliwe znaki.

„Moment pary sił“ — czwartokursista przychodzi do pracowni fizycznej i mimo +15°, zsiniały, chucha parą.

Mierzenie oporu wewnętrznego metodą wprost“ — powiedzieć Bronkowi, że jest głupi.

„Upust“ — rubryka uwag nauczyciela na karcie daltońskiej.

„Przykład ścisłej logiki“:—fizyka—dwója...

— — — — — — — — —

Skrawek innego życia kursu V-ego;

„Nareszcie i prof. opuścił klasę. Nie mogąc jeszcze dojść do przytomności i ocknąć się z majaczeń sennych, które mnie męczyły przez całą godzinę, oparłam skołataną głowę na ławce i pogrążyłam się znowu w błogich marzeniach. Mając dziesięć minut czasu do dyspozycji, reszta zespołu zajęła się czem mogła, aby wyładować wrodzoną energję. Słyszałam trzask przesuwanych ławek—łoskot zerwanej tablicy z nadmiernej gorliwości dyżurnego, coś przeleciało w mojej okolicy i upadło głucho przed nosem mojej poprzedniczki—był to zbłąkany pantofel gimnastyczny, ten właśnie jeden jedyny, który tradycyjnie jest gubiony i szukany przez władcę C. K. W. Wszystko się działo przy akompanjamencie rechotu, kwiku, pisku, solidnego—ha, ha i cieniutkiego—chi, chi ..

Nagle cała harmonja zamieniła się w jeden ryk—to już i mnie zdołało strącić z wyżyn. Zdumiona podnoszę głowę, zdumiewam się jeszcze bardziej i chcąc nie chcąc przyłączam się całą duszą i dostrajam do całości.

Widzę jak nasz eks-bułeczkarz, dzięki pomocy matryjarchatu naszego samorządu uległ dziwnej metamorfozie. Zamiast zwykłego, wyblakłego „chudopachołka“ — w narciarskim stroju, ujrzałam dziewczę w trawiastej spodnicy z innemi dodatkami, miotającą się w jakichś dziwnych nieskoodynowanych pląsach. Do tego balansowania dołączony był cały repertuar przeróżnych min, jego ruchomej maski. Doszedłszy do zenitu natchnienia wskoczył na ławkę, gdzie odbyła się wielce frywolna wędrówka i ciąg dalszy baletu. Ryk się wzmagał. Zaniepokojona przybyła kl. VIII. która wkrótce przyłączyła się do nas, wyrażając najwyższe zadowolenie. Widziałam naokoło siebie zgięte postacie, przesuwające się i miotające ze łzami w

oczach, niektórzy leżeli już ciężko oddychając, a inni poprostu krzyczeli z całej siły i trzymali się za żołądki. Poczułam, że już nie mogę śmiać się, a przestać też nie mogłam, więc pochyliłam się nad ławką i zaczęłam płakać jak bóbr rzewnemi łzami. Dalszy ciąg antrakcyj przerwał dzwonek..." (wyjątek z kroniki). *G. R. Siemaszko.*

Z ŻYCIA LICEUM

Dnia 28-IV-36 r. odbyła się zbiórka zorganizowana przez kurs V i poświęcona sprawozdaniu z praktyki, odbytej w szkołach powszechnych niższego stopnia na terenie pow. Krzemienieckiego.

W dłuższem przemówieniu kol. J. Żułkosiówny została podniesiona następująca myśl: szkoły powszechne, w których przez tydzień mieliśmy możność samodzielnie i bezpośrednio pracować są bardzo słabo wyposażone w najniezbędniejsze pomoce naukowe. Niektóre z nich są tak biedne, że jak powiedziała prelegentka, odczuwało się głęboką jakąś niesprawiedliwość społeczną, gdy chodzi o porównanie warunków pracy naszych i tamtych—wsiowych.

Do zobrazowania sytuacji wsi mogą posłużyć choćby takie fakty: sala mała, w ławkach na dwoje—ciśnie się czworo, część dzieci pracuje, reszta siedzi bez zajęcia, bo „tato ne maje na zszytok"... Do całości obrazu dodajmy jeszcze i to, że zaledwie połowa dzieci spełnia swój obowiązek szkolny, dla reszty miejsca niema.

Więc wniosek konkretny i ludzki: pomóżmy dzieciom, stwórzmy im lepsze warunki do nauki, składajmy choć niedopisane ołówki i zbędne kartki papieru, ale weźmy się do tego wszyscy!

W następstwie zabrał głos p. Kurator. W słowach prostych i mocnych całem sercem przyłączył się do rzuconej przez kurs V-ty myśli, podkreślając wagę poruszonego zagadnienia. Za pomoc naukową mogą posłużyć zużyte pudełka, nożyki, książki.. to wszystko z pewnością można znaleźć w domu, trzeba tylko chcieć. „To jest odcinek pracy jasny i konkretny—naświetla dalej p. Kurator—może nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, jaki piękny obowiązek macie do spełnienia, młodzieży".

Te niedopisane ołówki czy stalówki to napozór drobnostki, które jednak składają się na rzecz piękną, wielką i owocną. Podobną akcję pomocy wsi chciała zorganizować Komisja nauczycielska, więc tem radośniejszym jest objaw, że równocześnie myśl ta wyszła i od nas. Po p. Kuratorze zabrał jeszcze głos p. prof. Mączak, podając kilka faktów ilustrujących w mocnych rysach konieczność czynnego ustosunkowania się do tej sprawy ze strony młodzieży licealnej.

Jakie silne jest zestawienie naszych ciepłych sypialni internatowych i sal szkolnych z widokiem chłopa, przynoszącego swoje dziecko w zimie do szkoły w worku, gdyż jest bose i nawet na obuwie niema pieniędzy. Inny przykład: dziecko niema na czem pisać. Nauczyciel radzi sobie w ten sposób, że daje mu pieniędzy na papier pakunkowy, na którym, wielką sztuką jest pisać atramentem nawet ludziom dorosłym.

Swiadomość że takich faktów można przytoczyć całe mnóstwo powinna nas koleżanki i koledzy zmobilizować, zjednoczyć i wprząc do pracy. Jestem przekonana, że apel w tej sprawie skierowany do młodzieży nie przejdzie bez echa. *M. Chrzanowska*